

Międzynarodowa Konferencja Krajoznawcza KRESY 2012

W dniach 25 czerwca - 1 lipca 2012 roku odbyła się Międzynarodowa Konferencja Krajoznawcza pod nazwą Kresy - Europejska Przestrzeń Przenikania Kultur, Szlakiem Wincentego Pola. Spotkanie to miało na celu prześledzenie procesu przenikania się kultur, w tym wypadku przede wszystkim polskiej i ukraińskiej oraz sprawdzenie stanu do jakiego to przenikanie doprowadziło w dniu dzisiejszym. Wiadomo, że historia tych ziem jest bardzo złożona. Na przestrzeni wieków zmieniały się tu formy państwowości, zmieniały się stosunki narodowościowe, w końcu zmieniały się relacje wyznaniowe. Przede wszystkim duże zmiany miały miejsce po II wojnie światowej. Mieszaly się tu różne kultury i wyznania. Mieszaly się dawne rody. Ich przedstawiciele zmieniali wyznanie czy stan swojego posiadania. W pewnych okresach bardziej utożsamiali się z jedną narodowością, w innych z inną. Poprzez związki małżeńskie ich rody ewoluowały tak bardzo, że gdy docieramy do ich korzeni nieraz jesteśmy szczerze zaskoczeni dowiadując się gdzie miały one swoje początki. Obecnie ponad pół wieku po II wojnie światowej, w dobie totalnej liberalizacji życia, mieszkający tu ludzie dostrzegają, iż aby poprawiać poziom swojego życia muszą współpracować ze sobą. Muszą wspólnie realizować pewne pomysły. A ponieważ jest tutaj wciąż wiele zabytków związanych z historią wywodzących się stąd rodów, muszą walczyć o ich ratowanie i przywracanie do dobrego stanu, tak by przybywający tu turyści namawiali innych do odwiedzenia Ukrainy. Turystyka w końcu jest potężną dziedziną gospodarki i dobrze realizowana przynosi wymierne korzyści finansowe.



**Uczestnicy rekonesansu przed budynkiem Wyższej Szkoły Społeczno - Przyrodniczej im.
Wincentego Pola w Lublinie. Foto: Krzysztof Tęcza**

Celem naszego wyjazdu było także poznanie znanych rodów z tych terenów. Zobaczenie jak sobie radzą nasi rodacy, którzy tutaj pozostali. A także jak są oni postrzegani przez dzisiejsze władze.

Aby zrozumieć to z czym mieliśmy się spotkać przygotowano w Lublinie sesję w ścisłej współpracy z Wyższą Szkołą Społeczno-Przyrodniczą im. Wincentego Pola. Dodam tylko, że główni organizatorzy konferencji to Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Oddział im. Mieczysława Radwana w Ostrowcu Świętokrzyskim, Komisja Krajoznawcza Zarządu Głównego PTTK, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Ostrowieckiej oraz wspomniana wcześniej uczelnia. Całość koordynował Zbigniew Pękała, pomysłodawca oraz autor scenariusza konferencji - rekonesansu. Trzeba powiedzieć wyraźnie, że to jego determinacja i jego zaangażowanie doprowadziło do pomyślnej realizacji całego zamierzenia. Oczywiście otrzymał on dużą pomoc choćby ze strony przewodniczącego Komisji Krajoznawczej ZG PTTK, Józefa Partyki. Wielce zaangażował się kol. Wojciech Kowalski z Lublina przede wszystkim w przygotowanie programu lubelskiego. Byli także inni, ale wymienianie zarówno ich jak i pozostałych instytucji biorących udział w organizacji całego przedsięwzięcia nie zajęło połowy tekstu nie wymienię ich tutaj składając im jednak podziękowania za włożoną pracę.

Poniedziałek, 25 czerwca.

W poniedziałek 25 czerwca zorganizowano w sali Wyższej Szkoły Społeczno-Przyrodniczej w Lublinie – sesję lubelską. Na początku przedstawiono nam definicję Kresów jako wielokulturowy obszar w przestrzeni cywilizowanej Europy. To na tym terenie stykały się kultury wschodnie i zachodnie oraz ludów napływających z północy i południa. To tu toczyły się wojny, podczas których niszczone nie tylko dobra materialne, ale także poukładane stosunki międzysąsiedzkie przedstawicieli różnych narodowości. Ukazało się już wiele publikacji, zarówno popularnych jak i naukowych, o tych terenach, z których czerpiemy całą wiedzę historyczną. Jednak aby móc przedstawiać istniejące tam obiekty rzetelnie jak i bez zniekształceń musimy sami je zobaczyć. Zatem nasz wyjazd miał duże znaczenie nie tylko dla nas samych, co dla wszystkich interesujących się tą tematyką osób. Aby jednak nie tracić czasu na szukanie w naszej pamięci szczegółów postanowiono przybliżyć nam to z czym mieliśmy się zetknąć. Przygotowano kilka interesujących wykładów, które wygłoszono po wstępie zaprezentowanym przez przedstawicieli WSS-P w Lublinie: prof. dr hab. Witolda Kłaczewskiego, dr Zygmunta Wilczka oraz organizatorów dr Józefa Partykę i mgr Zbigniewa Pękałę.

Zaplanowane wykłady rozpoczął prof. Witold Kłaczewski od przedstawienia „Historycznych związków Lublina z Kresami”. Stwierdził, iż Lublin zawsze był związany z pograniczem wschodnim. To tutaj, na Wzgórzu Czwartek, powstała pierwsza osada handlowa i tam powstał pierwszy kościół św. Mikołaja (patrona kupców ruskich). Odbływały się tam i odbywają po dziś dzień targi czwartkowe. Wszystko to miało miejsce przy Trakcie Ruskim. Na krótko Lublin wszedł w skład księstwa Włodzimiersko - Halickiego. Kazimierz Wielki otoczył Lublin, tak jak wiele innych miast, murami obronnymi. Nawiązano kontakty z miastami litewskimi, szczególnie Wilnem. W 1383 roku Władysław Jagiełło wydał dokument regulujący zasady handlu. Było to 3 lata przed Unią polsko-litewską. W Lublinie ustalono powołanie Władysława Jagiełły na tron Rzeczypospolitej i jego ożenek z Jadwigą. Tutaj odbywały się zjazdy polsko-litewskie. Śmiało można powiedzieć, że Lublin stał się po Krakowie i Wilnie trzecią stolicą. Król Jagiełło zlecił rozbudowę kaplicy zamkowej, w której mistrz Andrzej wykonał malowidła o tematyce bizantyjsko-ruskiej. W XV i XVI wieku Lublin jako miasto spełniało rolę wrót do obszarów ekonomicznych obejmujących obszar od Wilna

po Wrocław. Kazimierz Jagiellończyk w 1448 roku nadał miastu przywileje dotyczące jarmarków (4 rocznie). Dzięki wymianie handlowej między wschodem a zachodem przybywali tu i osiedlali się kupcy różnych narodowości. Byli to przede wszystkim Niemcy, Włosi ale także spora liczba Szkotów.

W Lublinie odbywały się ważne zjazdy polityczne i sejmy. Najbardziej znane wydarzenie polityczne to Unia Lubelska. Dlatego też przybywali tu możni tamtych czasów, zarówno z Litwy, Rusi jak i Rzeczypospolitej. Po przeniesieniu stolicy z Krakowa do Warszawy Lublin zaczął tracić funkcje handlowe jak i centralne na jej rzecz. Ważną instytucją jaka miała tu swoją siedzibę był Trybunał Koronny czyli sąd dla szlachty, obejmujący tereny Małopolski, Rusi i Ukrainy. Miało to duży wpływ na rozwój miasta. Przybywająca tu szlachta zabierała ze sobą całe orszaki i zostawała po kilka miesięcy. Nieraz budowała sobie dworki czy pałace. Doszło do tego, że w Lublinie naliczono około stu pałaców. Przebywając tu dokonywali oni wiele fundacji sakralnych. Budowali rodowe kaplice grobowe. Tak samo wojska idące na wyprawy przechodziły tędy czyniąc zaopatrzenie. Wszystko to przyczyniało się do rozwoju miasta i bogacenia się jego mieszkańców.

Dzisiaj pozostało tylko stwierdzenie, że jest to skrzyżowanie kultur wschodu i zachodu. Chociaż jak popatrzeć się na istniejące tu zakłady czy uczelnie wcale nie dostrzega się zaniku ważności Lublina na mapie Polski.

Dr Zygmunt Wilczek postanowił przybliżyć nam rody wywodzące się z Kresów i rody z Rzeczypospolitej osadzające się na Kresach. Przypomniat, że przedstawiciele tych rodów byli bardzo bogaci, a co za tym idzie, stać ich było na wznoszenie różnych budowli. Nawet takich, które nie były dla nich mniej użyteczne. Dzięki temu mamy wiele zachowanych obiektów spełniających funkcje sakralne czy administracyjne. Są także obiekty szkolne i budowle mniej czy bardziej przydatne dla mieszkańców. Oczywiście najbardziej okazałe są różne zamki i pałace, założenia miast. Trzeba jednak wiedzieć, że to właśnie przedstawiciele tamtych rodów pełnili najbardziej prestiżowe stanowiska w państwie. Rody te stawały się wielkimi właścicielami ziemskimi. W późniejszych czasach przedstawiciele tych rodów wchodziły w związki małżeńskie co jeszcze bardziej podnosiło ich pozycję oraz przyczyniało się do posiadania jeszcze większych majątków.

Na naszej trasie dotrzemy do miejsc związanych z rodem Ostrogskich. Dla nas to przede wszystkim Akademia Ostrogska, dzisiejszy Uniwersytet Narodowy Ukrainy. To także Biblia Ostrogska będąca pierwszym pełnym wydaniem wszystkich ksiąg Pisma Świętego przetłumaczonego na język cerkiewnosłowiański, którym posługiwali się wyznawcy Kościoła Wschodniego. Dodajmy, że wydana została drukiem. Pomijając wiele obiektów zabytkowych jakie zachowały się po tym rodzie ważnym jest także historia samego rodu. Życie jego poszczególnych przedstawicieli. I nie chodzi tu tylko o te ogólnie znane fakty. Rozegrały się tam także tragedie, były chwile wzniosłe i smutne. Ale jednak nie dość, że przedstawiała dzieje miłości, to także nawet dzisiaj, jest dobrym przykładem na to, iż nie zawsze można mieć wszystko i nie zawsze należy wykorzystywać sytuację do swoich potrzeb. Mowa tutaj o Elżbiecie Ostrogskiej znanej jako Halszka. Jej dzieje uwiecznił dla nas na piśmie Józef Ignacy Krasiński. W teatrze tytułową rolę zagrała Helena Modrzejewska, a samą Halszkę zobaczymy na obrazie Kazanie Skargi - Jana Matejki. Niestety Halszka poległa na tym, iż zakochała się nie w tym kandydacie na męża, o jakim myślała jej matka. Skończyło się to tragicznie, a dla niego bardzo tragicznie. Kolejny kandydat także nie leżał matce. Nie pozwoliła im na spokojne życie, rozdzielając parę. Nie pomogła nawet interwencja króla. Niestety córka nie potrafiąc sprzeciwić się matce ostatecznie wylądowała w areszcie i po kilkunastu latach popadła w obłąd.

Aby jednak sprawiedliwości stało się zadość matka po wyjściu za mąż została przez swojego wybranka najpierw pozbawiona majątku później uwięziona.

Jeśli chodzi o Czarторыskich są oni potomkami Wielkiego Księcia Litewskiego Olgierda. Jego prawnuk Olgierd Michał Wasylewicz otrzymał nadanie na m.in. Czarторыsk, od którego nazwy jego syn Fedor przyjął nazwisko. Od XV wieku główną rezydencją polskich książąt Czarторыskich stał się Klewań, w którym zachował się zamek.

Legendarnym założycielem rodu Radziwiłłów był Syrpuć. Największą potęgę rodu zbudowali Mikołaj Radziwiłł Czarny i Mikołaj Radziwiłł Rudy. Doprowadzono wówczas do ślubu ich siostry Barbary z królem Zygmuntem Augustem. Innym znanym przedstawicielem tego rodu był Karol Stanisław Radziwiłł znany z powiedzenia "Panie kochanku". Był to człowiek znany z jednej strony jako pijanica, z drugiej jako niezwykle szczodry, często pomagający innym. Założył on Radziwiłłowską Szkołę Majtków w Nieświeżu, opisaną przez Karola Olgierda Borchardta w książce „Kolebka nawigatorów”. Zaś Adam Mickiewicz potraktował Karola Radziwiłła jako pierwowzór postaci stolnika Horeszki w Panu Tadeuszu.

Wiśniowieccy przyjęli swoje nazwisko od zamku Wiśniowiec. Jednak ich rodowód wiąże się z rodami Rurykowiczów i Gedyminów. W historii zapisało się wielu wybitnych przedstawicieli tego rodu. Jednym z nich był Michał Korybut wybrany na króla Rzeczypospolitej.

Dr Piotr Kondraciuk przybliżył nam wybrane twierdze kresowe w Rzeczypospolitej XVI-XVIII wieku. Prezentując przeżrocza opowiadał o historii poszczególnych obiektów. Przedstawił twierdzę Chocim. W 1480 roku zamek zbudowany od nowa, wyposażono w mury z krenelażami. Wybudowano potężną wieżę ostatniej obrony i dodano dwa budynki pałacowe.

Czerwonogród był obiektem nieco mniejszej rangi ale służył do tego samego celu czyli obrony przed Turkami. Dubno to twierdza, którą w późniejszym czasie przebudowano na reprezentacyjną rezydencję. Kamieniec Podolski był najpotężniejszą twierdzą, jaką wybudowano w tamtych czasach. Była tu stała załoga. Od XIV wieku prowadzono rozbudowę a w XVI wieku powstały tu główne elementy fortyfikacyjne. Obiekt ten zachował się do dnia dzisiejszego w dość dobrym stanie. Twierdza Krzemieniec znana jest z przekazu, iż książę Witold więził tu Świrdygiełłę. Zamek został zniszczony przez Krzywonosą za powstania Chmielnickiego i już nie podniósł się z ruin. Zamek w Łucku z XIII\XIV wieku po odbudowie to obecnie jeden z najlepiej prezentujących się tego typu obiektów na Wołyniu.

W czasie kiedy Kamieniec i Chocim były w rękach wroga, hetman wielki koronny Stanisław Jan Jabłonowski wybudował fortyfikacje, które pełniły funkcje obronne tylko przez siedem lat. Były to Okopy św. Trójcy. Jako obiekt zastępczy nie miał on prawa przetrwać do naszych czasów.

Kolejny Zamek w Ołyce miał na stanie, aż 202 armaty. Natomiast zamek w Zbarażu został przebudowany na nowoczesną twierdzę bastionową, która miała być fortyfikacją nie do zdobycia. Niestety okazało się, iż jedna studnia nie dawała wystarczająco dużo wody by zaspokoić potrzeby ludzi, którzy schronili się w niej.

Dr Zygmunt Wilczek, który ponownie zabrał głos poruszył temat wyznań na terenach Rzeczypospolitej. Najważniejsze było, zarówno wtedy, jak i dzisiaj, nie dopuścić do wojny na tle religijnym. Polska przyjęła chrzest w 966 roku. W tamtych czasach przyjęto, że religią wiodącą w danym państwie była ta jaką wyznawał władca. Gdy na włączone do Korony ziemie prawosławne zaczęli napływać ludzie z ziem polskich, ich zachodnie wzorce kultury czy polityki rodziły początkowo konflikty. Zaczęły ścierać się ze sobą różne wiary: chrześcijańskie, prawosławne, gregoriańskie, Islam, Judaizm. Rzeczpospolita po Unii

Lubelskiej stała się najbardziej zróżnicowanym krajem w całej Europie. Pojawił się protestantyzm czy Bracia Polscy (Arianie). Po Unii Brzeskiej podporządkowano część prawosławia pod papieża co skutkowało pewnymi przywilejami dla duchownych. Byli także Ormianie - najstarszy naród chrześcijański na świecie (chrzest w 301 roku). Na uwagę zasługuje fakt, że kościół prawosławny nigdy nie uległ likwidacji. Po II wojnie światowej ziemie te leżące w obecnej Ukrainie mają zupełnie inny podział jeśli chodzi o sprawy wyznaniowe.

Dr Krystyna Harasimiuk przedstawiła związki Wincentego Pola z Kresami. Okazuje się, iż określenie Kresy wymyślił właśnie Pol. Z tym, że miał on na myśli kresy u kraju, tereny nad Dnieprem. Pojęcie to później ewoluowało. Dla nas Kresy są to tereny utracone. Wincenty Pol był pierwszym, który ukazywał piękno ziemi polskiej w tak trudnych warunkach. Wszak Polska była wtedy wymazana z mapy Europy. Nie byliśmy wówczas samodzielnym państwem. To on opracował kodeks miłości do Ojczyzny. Opisywał tereny dawnej Rzeczypospolitej. Ponieważ nie było jeszcze fotografii to co piękne można było albo namalować albo opisać słowami. Opisy Pola były niezwykle obrazowe i ciekawe. Przedstawiał Podole, opisał Dniestr, masyw Popadii w Gorganach i wiele innych miejsc. To Wincentemu Polowi zawdzięczamy jak należy patrzeć na przyrodę i jak należy ją podziwiać i oglądać.

Po uzyskaniu takich informacji mogliśmy spokojnie wyruszyć w teren by wszystko sprawdzić na miejscu. Zanim jednak do tego dojdzie ruszamy na spacer po Lublinie. Oprowdza nas Krystyna Basista. Początkowo docieramy na Plac Litewski, który w czasie II wojny światowej był Placem Hitlera, a tuż po niej Placem Stalina. Pierwotna nazwa pochodzi od faktu, iż przybywający na zwoływane sejmy Litwini, nie mając gdzie spać rozstawiali tutaj swoje namioty. Dzisiaj widzimy tu Pomnik Nieznanego Żołnierza, Pomnik Konstytucji 3-go Maja i pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego. Właśnie ten pomnik spodobał się nam najbardziej. Każdy z nas starał się zrobić jak najciekawsze ujęcie i utrwalić na fotografii zarówno marszałka jak i jego rumaka z siedzącymi na nim gołębiami. Z tyłu za ciekawą fontanną widać dwór Firlejów nazywany pałacem Radziwiłłowskim, ponieważ mówiono, że gdy do Lublina przybywał Zygmunt August to właśnie tutaj mieszkała Barbara. Dla nas ciekawym było, że w pałacu obok była dawniej siedziba naszego Towarzystwa (PTTK). Obecnie znajduje się tu Polska Akademia Nauk, Lubelskie Towarzystwo Naukowe czy Lubelski Klub Rotariański. Bardzo ładnie prezentuje się odnowiony pomnik Unii Lubelskiej. Umieszczono na nim płaskorzeźbę symbolizującą połączenie Litwy i Korony. Idąc dalej dotarliśmy do budynku, gdzie w roku 1918 Józef Piłsudski przemawiał z balkonu. To tu powstał pierwszy rząd. Nieco dalej widzimy kościół Braci Mniejszych Kapucynów zbudowany, jak głosi przekaz, na polecenie Władysława Jagiełły, przez jeńców krzyżackich.

Naprzeciwko Sanktuarium św. Antoniego, w którym mogliśmy zobaczyć akurat odślonięty w ołtarzu obraz, rośnie drzewo o bardzo ciekawych kształtach oznaczone jako pomnik przyrody. Pomiedzy zabudowaniami widzimy wysoką wieżę. Oprowdzająca nas mówi, że gdy będziemy przechodzili obok niej, to gdy kogut nie zapieje na widok mężczyzny, będzie to oznaczało, iż ten nie zdradza żony. Wyprzedzając wypadki poprosiliśmy byśmy poszli naokoło. Udaliśmy się zatem ulicą Miedzianą i koło pałacu Biskupiego. I oto dotarliśmy ponownie do wspomnianej wieży. A kogut nie pieje. Ktoś opowiada drugą wersję tej przepowiedni mówiącą, że gdy przechodzić tędy będzie wierna żona to kogut sfrunie na dół. Nie zdradzę co zrobił tym razem kogut. Czy zapiął czy sfrunął. Nas czekała kolejna zagwozдка. Mijając Plac Katedralny doszliśmy do Kamienia Nieszczęścia. Niestety przewodniczka tak się "rozgadała" opisując nam to co widzieliśmy, że zapomniała wyjaśnić

o co chodzi. Dlatego pozwalam sobie uprzejmie donieść, że dotknięcie kamienia nieszczęścia może spowodować zejście z tego świata. Wszystko zaczęło się gdy kat ściął niewinnego człowieka. Zrobił to tak energicznie, że pień, na którym skazaniec trzymał głowę rozpołowił się a topór katowski wyszczerbił w użytym, jako podstawa pnia, kamieniu. Po jakimś czasie idąca kobieta potknęła się i wylała niesioną dla męża zupę. Zaraz zbiegły się okoliczne psy by zlizać co się da. Wkrótce wszystkie padły martwe. Od tego czasu kamień spowodował wiele nieszczęść i dlatego co jakiś czas był przenoszony w różne miejsca. Obecnie znajduje się na rogu ulicy Jezuickiej.



Zamek w Lublinie pilnowany przez lwa będącego symbolem Lwowa. Foto: Krzysztof Tęcza

W Ratuszu akurat miała miejsce promocja nowego przewodnika ale pozwolono nam zwiedzić miejsce, w którym urzędował Trybunał Koronny. Na latarni przed wejściem dojrzelśmy odcisk czarciej łapy, a ponieważ była już najwyższa pora udaliśmy się na kolację do lokalu o nazwie Czarcia łapa. Idąc dalej nie mogliśmy sobie odmówić zrobienia pamiątkowego zdjęcia pod pomnikiem - symbolem Lwowa. Tuż przed zamkiem ustawiono pomnik będący kopią lwa sprzed łuku chwały na Cmentarzu Obrońców Lwowa 1918 roku. Na koniec tak ciekawego spaceru dotarliśmy do muzeum Wincentego Pola zlokalizowanym w dworku, który swego czasu pisarz otrzymał w darze od narodu. Mogliśmy wreszcie zobaczyć egzemplarz „Pieśni o ziemi naszej”, dzieła zilustrowanego przez Juliana Kossaka. Drugie najbardziej znane jego dzieło „Mohort” zawiera użyte po raz pierwszy określenie kresy. Po jak już wspomniałem, był mistrzem jeśli chodzi o opisywanie otoczenia i w swoich opisach dawał dowód miłości jaką powinno się wykazywać w stosunku do Ojczyzny. Aby jednak nie zaszufladkować tego wybitnego człowieka muszę dodać, że stworzył on pierwszą w Polsce, a drugą na świecie katedrę geografii.



Zaproszenie do dworku Wincentego Pola w Lublinie. Foto: Krzysztof Tęcza

Wtorek, 26 czerwca.

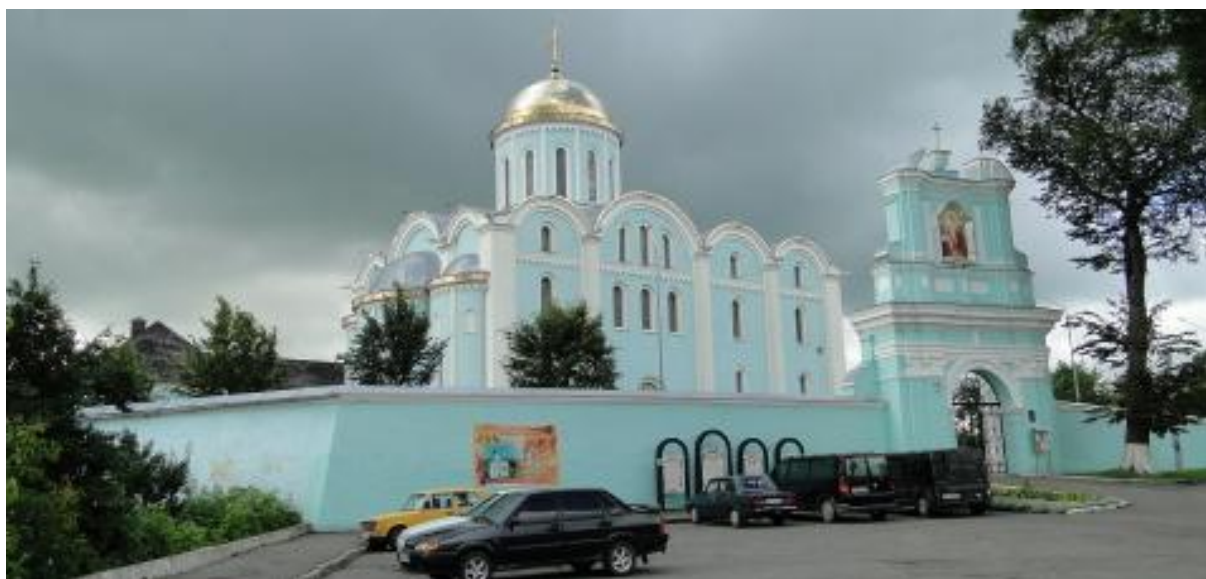
Wyruszyliśmy, skoro świt, w stronę przejścia granicznego w Dorohusku, gdzie przesunęliśmy wskazówki na zegarkach o godzinę do przodu, tak by zrównać je z czasem miejscowym.

Podczas przejazdu do pierwszego punktu naszej wyprawy Zbigniew Pękała zaprezentował wydawnictwo Mieczysława Orłowicza "Ilustrowany przewodnik po Wołyniu", które ukazało się w Łucku w 1929 roku. Orłowicz zadedykował je Franciszkowi Księżopolskiemu, Prezesowi Wołyńskiego Towarzystwa Krajoznawczego i Opieki nad Zabytkami Przeszłości.

Alicja Wrzosek opowiedziała o życiu Mieczysława Orłowicza i aby wprowadzić nas w lepszy nastrój przeczytała fragment „Pieśni o ziemi naszej” Wincentego Pola. Natomiast Józef Partyka przekazał informacje o Polesiu, o jego przyrodzie i krajobrazach. Widziane za oknami autobusu rozległe łąki i niewielkie lasy wyglądają jakoś inaczej niż te do których się przyzwyczailiśmy. Gdy tak patrzę na nie, budzi się we mnie jakieś dziwne uczucie. Wydaje się, iż na tej ziemi czas płynie powoli, spokojnie, że człowiek mógłby tu wędrować i godzinami nic innego nie robić tylko patrzeć przed siebie. Widok takich równych, acz lekko pofałdowanych terenów skłania do lenistwa. Pewnie gdybym tu mieszkał chodziłbym tylko na spacer i urządzał pikniki.

Dosyć jednak tych rozważań. Za szybami widać namalowanego na wiadukcie św. Jerzego pokonującego smoka. Właśnie wjeżdżamy do Włodzimierza Wołyńskiego. Parkujemy przed budynkiem Miejskiej Rady. Nad wejściem widać herb miasta i datę 988. Po drugiej stronie ulicy góruje nad miastem grodzisko. To właśnie obok niego przechodzimy by dotrzeć do pomnika księcia Włodzimira Wielkiego założyciela Włodzimierza Wołyńskiego oraz pomnika Jarosława Mądrego. Po zapoznaniu się z historią tego miejsca, ale nie tylko, ruszamy wokół grodziska by dojść do widocznych złotych kopuł soboru Zaśnięcia Matki Bożej. Idziemy ścieżką wzdłuż potoku, za którym rośnie roślina znana u nas jako barszcz Sosnowskiego. Jest ona niebezpieczna ze względu na wywoływanie bardzo silnych poparzeń.

Tutaj momentami widać całe łąki opanowane przez tę bylinę. Ten przykry widok rekompensujemy sobie dobiegającym zewsząd rechotem żab. Ale oto jesteśmy przy świątyni. Czekamy chwilę bo w środku trwa modlitwa. Później wchodzimy do wnętrza i jesteśmy zszokowani widocznym tam przepychem. Ponieważ w Polsce też mamy cerkwie przywykliśmy, że jest w nich bardzo ładnie, ale to co zobaczyliśmy tutaj, ten przepych, ozdoby wręcz kapiące złotem. Tego nie spodziewaliśmy się. A to przecież dopiero pierwszy taki obiekt na naszej trasie. Zaskoczyło nas jeszcze jedno. Doliczyliśmy się co najmniej kilkunastu księży. Bardzo dużo. Ale, jak się okazało miało to także swoją dobrą stronę. Część z nich pozwalała nam robić zdjęcia, a część kategorycznie zabraniała. My jednak trafiliśmy na księdza mówiącego po polsku. Zaraz zasypaliśmy go dziesiątkami pytań. Dowiedzieliśmy się wielu ciekawostek i rozwialiśmy niektóre wątpliwości.



Sobór Zaśnięcia Matki Bożej we Włodzimierzu Wołyńskim. Foto: Krzysztof Tęcza

Wracając do autokaru trafiła nam się prawdziwa gratka. Na chodniku ujrzelśmy kota i kurę chodzących wokół siebie. Ciekawe było kto na kogo poluje. Niestety z braku czasu nie dowiedzieliśmy się tego.

W autobusie czekała Swietłana, która miała poprowadzić nas dalej. Zaraz opowiedziała nam kilka ciekawostek. Dowiedzieliśmy się, że książę Włodzimierz zbudował oglądaną przez nas cerkiew w jeden dzień. I mimo, że wydaje się to nam tylko bajką, jest to całkiem możliwe. Przecież budowany przez niego obiekt był maleńki, a materiał jaki użyto do budowy to drewno. Dzisiaj też drewniane domy składa się nieraz w jeden dzień. Kolejne ciekawe miejsce jakie nam pokazała Swietłana znajduje się koło Bramy Kijowskiej. Mieszkał tam smok zjadający, jak to w przekazach bywa, dziewice. Gdy pozostała mu już do zjedzenia córka księcia, w jej obronie stanął rycerz. Walka była tak zażarta, że broniący się smok machając ogonem wykopał rów, którym popłynęła rzeka.



Zespół klasztorny w miejscowości Zimno. Foto: Krzysztof Tęcza

Zanim dotarliśmy do miejscowości Zimno, już z daleka widzieliśmy kopuły monasteru. Legenda głosi, że z tej zimowej rezydencji księcia Włodzimierza prowadziły tunele podziemne aż do samego Włodzimierza. Nie wiadomo czy tak było ale faktem jest, że jakieś tunele prowadzące pod rzekę odkryto. Niektóre z nich umożliwiały jazdę na koniu. Ponieważ obecnie znajduje się tu żeński klasztor (około 40 zakonnic) dalej oprowadzała nas jedna z sióstr. Niestety przekazała nam złą wiadomość. Matka zabroniła fotografować wnętrza. Było to dla nas przykre ponieważ te znowu okazały się tak zdobne, iż trudno było zdecydować na co patrzeć najpierw. Jesteśmy na świętej górze, tak że wypływająca ze źródła ujętego w studni woda ma cudowne właściwości. Istnieje wiele dowodów uzdrowień jakie miały tu miejsce. W podziemiach spoczywał kiedyś uznany za świętego Książę Wołodimir. Po modlitwie przed świętą Ikoną Matki Bożej i zwiedzeniu podziemi wyszliśmy na taras, z którego rozpościerał się wspaniały widok. Wijące się ciekły wodne i stawy na lekko pofalowanych łąkach. Coś wspaniałego. Gdy tak przyglądałem się temu zrozumiałem dlaczego mój tata i jego brat tak starali się tu przyjechać. Otóż przed wojną mieszkali w miejscowości Włodzimierzówka, gdzie dziadek miał spore gospodarstwo. To tam dorastali. Całe ich dzieciństwo związane jest z Włodzimierzem Wołyńskim i okolicami. Niestety gdy wreszcie po wielu latach tu przyjechali spotkało ich rozczarowanie. Zastali tylko gołą ziemię. Nie zachował się ani jeden budynek. Było to skutkiem tzw. ostatecznego rozwiązania sprawy polskiej. Czasami tata opowiadał mi o tamtych czasach, gdy jako dziecko musiał z dnia na dzień dorosnąć. Gdy musiał ratować swoje życie ucieczką, najpierw z domu do partyzantki, później do Lublina, gdzie złapany trafił, jak to mówił, na Majdan. Niestety jego opowieści o tym co działo się tam wtedy są tak przerażające, że naszym dzieciom trudno je przyjąć. Całe szczęście, że chociaż część rodziny uratowała się i dotrwała do normalnych czasów.

Aby zmniejszyć nieco nasz zachwyt w dalszej drodze do mikrofonu dotarł Rysiu Wrzosek. Zaczął opowiadać o budowie geologicznej terenów, po których się przemieszczamy. Było to nader ciekawe, tyle że on jako fachowiec fascynuje się tymi tematami, a dla nas po usłyszeniu dziesiątek dziwnych określeń wszystko zlewało się w jedno. Nie mniej warto było go posłuchać.

Jesteśmy w Torczynie, gdzie na przykościelnym cmentarzu pochowano zmarłych rodaków. Jest tu także symboliczny grób dowódcy II Batalionu 23 PP ppłk Leopolda Lisa - Kuli,

który zginął w obronie Torczyna w 1919 roku. Piszę grób symboliczny bo jego zwłoki pochowano na cmentarzu na Pobitnem (dzielnica Rzeszowa). Podczas tamtego pogrzebu na grobie położono wieniec z napisem „Memu dzielnemu chłopcu – Józef Piłsudski”. Pułkownik był tak lubianym żołnierzem, że Adam Kowalski ułożył na jego cześć „Rapsod o pułkowniku Lisie – Kuli”. Oto on:

Gdy ruszył na wojenkę, miał siedemnaście lat,
A serce gorejące, a lica miał jak kwiat.
Chłopcą jeszcze duszę i młode ramię miał,
Gdy w krwawej zawierusze szedł szukać mąk i chwał.

Lecz śmiał się śmierci w oczy, a z trudów wszystkich kpił,
Szedł naprzód jak huragan, i bił, i bił, i bił.
A chłopcy z nim na boje szli z pieśnią jak na bal,
Bo z dzielnym komendantem i na śmierć iść nie żał.

Nie trwożył się moskiewskich bagnatów, lanc ni dział,
Docierał zawsze z wiarą tam, dokąd dotrzeć chciał.
Gdy szedł zaś w bój ostatni, miał lat dwadzieścia dwa,
A sławę bohatera, a moc i dumę lwa.

Świsnęła mała kula i grób wyryła mu,
Bohaterowi łożę, posłanie wieczne lwu.
Rycerski pędził żywot, rycerski znalazł zgon,
Armaty mu dzwoniły, a nie żałobny dzwon.

Chorągwie się skłoniły nad grobem, na czci znak,
A stara brać żołnierska jak dzieci łkała tak.
Sam nawet wódz naczelny łzy w dobrych oczach miał,
Ukochanemu chłopcu na trumnę order dał.

A wiecie wy żołnierze, kto miał tak piękny zgon,
Kto tak Ojczyźnie służył, czy wiecie kto był on?
Otwórzcie złotą księgę, gdzie bohaterów spis,
Na czele niej widnieje: Pułkownik Kula – Lis.



Ksiądz Aleksander przy grobie płk Leopolda Kuli w Torczynie. Foto: Krzysztof Tęcza

Ksiądz Aleksander, który odmówił modlitwę, wziął udział w ustawieniu przez nas znicza pamięci, zarówno na grobie pułkownika Kuli jak i pod jedną z tablic upamiętniających pozostałych Polaków. Następnie opowiedział nam o swoich problemach, troskach i bolączkach dotyczących utrzymania zarówno parafii jak i siebie. Niestety parafia licząca około dwudziestu wiernych nie jest w stanie sama się utrzymać. Dlatego ksiądz Aleksander ima się każdej pracy jaka się trafi. Ale nie narzeka. Czuć w jego słowach pogodę ducha i wole przetrwania. Stara się on nieść posługę duszpasterską nawet tam, gdzie wydawałoby się nie ma takiej możliwości. Organizuje przygotowanie dzieci do pierwszej komunii, ucząc je w ich domach. A trzeba dodać, że jako ksiądz katolicki nie ma tutaj łatwego życia. Dlatego cieszyć się należy, że kościół Podwyższenia Krzyża Świętego i Jana Chrzciciela, konsekrowany w 1998 roku, powstał ze składek zarówno parafian jak i darczyńców niemal z całego świata.



Spotkanie w Wołyńskim Muzeum Krajoznawczym w Łucku. Foto: Krzysztof Tęcza

W Łucku dotarliśmy do Wołyńskiego Muzeum Krajoznawczego. Każdy zapewne zastanawia się co to takiego. Okazuje się, że jest to muzeum, w którym eksponuje się jak byśmy powiedzieli smar, mydło i powidło. Oczywiście w dobrym tego słowa znaczeniu. Są tu zbiory zarówno historyczne, przyrodnicze, geologiczne, jak i dotyczące czasów obecnych. Taki przekrój historyczny tych ziem. Oczywiście wiele z eksponatów ukazuje ściśle związki rodów polskich jak i historii Polski splecionej z historią Ukrainy. Ale jak ma być skoro ziemie te należały przez wiele lat do Rzeczypospolitej. Pokazywana teraz historia zależy właściwie tylko od sposobu eksponowania zbiorów i ukazywania ich przez oprowadzających. My oczywiście słuchając oprowadzającej nas pani bardziej kierowaliśmy się na wszystko co związane było z naszą historią tych ziem. Jest to zrozumiałe i nie ma w tym nic dziwnego. Zwłaszcza, że wśród zbiorów wiele obrazów, map, czy książek wręcz ukazywało polskość tych ziem. Nie można tego nie zauważyć. Wśród ciekawostek znaleźliśmy tutaj rzeźbę przedstawiającą Tadeusza Kościuszkę i pismo z nadaniem przez niego stopnia oficerskiego. Jest też inwentarz księcia Hieronima Floriana Radziwiłła, księcia na Ołyce. Znajduje się tu także niespotkana do tej pory przez nas ciekawostka. Są to końskie zęby zalane w formy i układane jako podkład na błotnistych drogach. Pomysłowość ludzka nie zna granic. Na koniec rarytas. Natknęliśmy się na rysunek Napoleona Ordy przedstawiający Łuck nad rzeką Styrem i Głuszcem. Piękna rzecz.

Wreszcie dotarliśmy do sali, w której przygotowano spotkanie z dyrektorem muzeum panem Anatolijem Sylukiem, oprowadzającą nas po muzeum panią Oleną Biruliną oraz Walentym Wakolukiem, Prezesem Stowarzyszenia Kultury Polskiej na Wołyniu im. Ewy Felińskiej, który podjął się opiekować nami w tej części wycieczki. Przedstawili oni historie powstania muzeum. Opowiedzieli o tym jak gromadzono zbiory. Widać było po twarzy pani Oleny, iż jest bardzo zdziwiona gdy Józef Partyka przedstawił naszą grupę. Chyba nie do końca mogła pojąć, że tak dużo ludzi w Polsce, poświęca swój wolny czas i pieniądze, by swoją pasją i zbiorami dzielić się z innymi. Wrażenie na niej zrobił fakt istnienia tak dużej organizacji społecznej jaką jest Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Nie ma się zatem co dziwić, że rozgorzała wówczas ożywiona dyskusja, w zasadzie obejmująca wszystko. Ze względu jednak na to, iż zarówno nasi gospodarze jak i pracownicy z obsługi muzeum zostali dla nas długo po godzinach swojej pracy, nie można było ich przetrzymywać. Trzeba było podziękować za gościnę i ruszyć na zwiedzanie miasta. Po wizycie w muzeum muszę przyznać, że z jednym trzeba się zgodzić bez zbędnych pytań. Gospodarze mówili, że Ukraina to kraj jezior i rzek. Że Ukraina to niebieskooka piękność. Tak właśnie jest !



Zamek Lubarta w Łucku. Foto: Krzysztof Tęcza

Jeśli chodzi o zabytki Łuck to przede wszystkim zamek Lubarta wzorowany na budowach krzyżackich. Niestety nie zachował się już pałac książęcy, w którym Witold podejmował gości. W 1429 roku odbył się tu zjazd. Przyjechali wówczas m.in. Książę Witold, król Władysław Jagiełło, cesarz Cesarstwa Niemieckiego Zygmunt. To wtedy czyniono badania czy książę Witold da się namówić na objęcie korony co mogłoby skutkować rozbiciem Unii polsko-litewskiej. Obok widzimy potężną budowlę. To kościół św. Piotra i Pawła służący jako katedra.

Są tu jednak bardzo ciekawe walory krajoznawcze często niezauważane przez turystów. Nam w oko wpadły krawężniki w ulicy przy kościele. Są w nich widoczne napisy w języku polskim „Zarząd Miejski miasta Łuck”. Proszę, mimo wszystko przetrwały do naszych czasów. Przechodząc obok ławeczki z umieszczoną na niej rzeźbą Szwejka słyszymy jakąś muzykę. Okazuje się, iż zorganizowano koncert. Robi się coraz tłoczniej. Organizatorzy, aby panował spokój wprowadzili w okolicznych sklepach zakaz sprzedaży alkoholu. Ci, którzy chcieli skosztować czegoś mocniejszego musieli udać się do sklepów kilka ulic dalej.

Nareszcie dotarliśmy do naszego hotelu. Ma on trzy gwiazdki, choć nie do końca spełnia takie wymogi. Nie mniej dwuosobowe pokoje są czystutkie. Zaskoczeniem są posiłki. Nie dość, że smaczne to jeszcze zbyt obfite, bo na przykład śniadanie podano jako trzydaniowe. Czy to nie za wiele? Kanapki, mięso z ryżem i na deser pyszne naleśniki z makiem! Były one tak słodkie, że aż czuć było lukier w ustach.

Środa, 27 czerwca

Wyruszyliśmy, ciekawi kolejnych wrażeń, do miejscowości Ołyka. By nas na dobre rozbudzić przedstawiono sylwetkę Gabrieli Zapolskiej, którą znamy przede wszystkim jako autorkę „Moralności pani Dulskiej”, a która urodziła się w Podhajcach leżących nieopodal Łucka. Za oknami autobusu mijamy szerokie łąki i pola. Widzimy gniazda bocianie. I nie są one puste. Początkowo ciekawie, później coraz bardziej monotennie. Drogi boczne są tak dziurawe, że musimy jechać niezwykle uważnie, a co za tym idzie bardzo powoli. Mijamy małe domki, wręcz bardzo małe. Wiele z nich nakryto eternitem. Co ciekawe to widać

wszędzie doprowadzone rury z gazem. Dosłownie. Fajnie, że gaz jest ale czy te rury muszą być kładzione po zewnętrznych ścianach budynków. Nawet w ogrodach przydomowych rury ułożono na pionowych podtrzymujących je słupkach. Oczywiście aby były lepiej widoczne wszystkie pomalowane są na żółto.



Na targu w Ołyce. Foto: Krzysztof Tęcza

Ale oto Ołyka. Zanim ruszymy na zwiedzanie mamy możliwość zaopatrzyć się na miejscowym targu. Sprzedawane tu są sery, masło, mleko ale także jagody i śmietana. Każdy znalazł dla siebie coś smacznego. Ruszamy przez park do dawnych dóbr Radziwiłłów. Obecnie w rozległym zamku prowadzony jest Szpital Psychiatryczny nr 2. Z boku przy murach widzimy ekipę energetyków. Naprawiają oni zniszczenia jakie uczynił piorun, który dwa dni temu uderzył obok. Z miejscem tym kojarzy się przede wszystkim Albrycht Stanisław Radziwiłł, który pisał pamiętniki tak dokładne, że obecnie gdy wydano je przetłumaczone na język polski (oryginał pisał po łacinie) są prawdziwą skarbnicą wiedzy. A trzeba wiedzieć, że pisał je przez trzydzieści lat. Ufundowana przez niego kolegiata św. Trójcy, aż do II wojny światowej była prawdziwą perełką. Niestety obecnie przedstawia obraz tragiczny. W środku praktycznie nic nie ma. Nawet tynków. Zachowało się bardzo niewiele. Dotyczy to jednak praktycznie wszystkich kościołów na tych ziemiach. Zamieniano je na magazyny, stajnie, a czego nie dało się wyszabrować niszczone. Obecnie gdy coraz częściej są one zwracane prawowitym właścicielom ci nie są w stanie unieść ciężaru ich odbudowy i utrzymania. Główną przyczyną tego jest mała liczba wiernych. Kościół katolicki jest na tych terenach w mniejszości. Do tego często kojarzy się z polskością co nie do końca mile jest tu widziane. Ksiądz Jerzy, który od 10 lat opiekuje się tą świątynią ze względu na to, iż opiekuje się kilkoma świątyniami (położonymi w różnych diecezjach) został mianowany prepozytem. Aby poprawić nam nastrój zaprosił nas do mniejszego drewnianego kościółka św. Piotra i Pawła. Ten jest w pełni wyposażony. Ponieważ Radziwiłłowie nie zawsze byli katolikami, gdy zmienili wiarę rozbudowali nieco ów kościółek doprowadzając go do obecnego kształtu. Ksiądz Jerzy opowiedział nam o swoich losach. Dowiedzieliśmy się gdzie w Polsce ma rodzinę. Podzielił się

z nami także swoimi obawami co do dalszych losów kolegiaty. Nie wygląda to różowo. Zaprosił nas do zwiedzenia trzeciego kościoła w Klewaniu, którym się opiekuje. To tutaj znajdował się słynący cudami obraz Najświętszej Marii Panny. Mieszkanka Klewania, Stanisława Basaj, w 1945 roku zabrała obraz i inne kościelne precjoza gdy wyjeżdżała do Polski. Na szczęście po drodze żadne kontrole nie odkryły tego faktu i spokojnie dotarła ona do miejscowości Skwierzyna, gdzie po wielu latach ukrywania umieszczono w końcu obraz w ołtarzu głównym. Świątynia w Klewaniu to praktycznie gołe mury. Przytulniej wygląda mała salka, w której odprowadzane są msze codzienne, na które przychodzi po kilka osób. Można wtedy próbować ją ogrzać, co staje się koniecznością zwłaszcza w okresie zimowym. Jednak ksiądz Jerzy nie narzeka. Ba nawet opowiedział nam wiele zabawnych historyjek dotyczących tego jak sąsiedzi różnych wyznań uatrakcyjniali sobie dawniej życie.

Ruszając do Klewania patrzyliśmy jak piękny bociek przemierzał ziemniaczane pole w poszukiwaniu jakiegoś smakołyku. Czyżby i tu była stonka?

Klewań to przede wszystkim zamek Czartoryskich. Nie był to wtedy znaczny ród. Na swoją pozycję w Rzeczypospolitej musiał dopiero zapracować. Przede wszystkim jego przedstawiciele musieli zmienić wyznanie. Aby bronić swoje ziemie przed najazdami tatarskimi popierali Unię polsko-litewską. To Kazimierz Florian Czartoryski jako prymas pomógł swoim braciom w zdobyciu wysokich stanowisk w państwie, czym podniósł rangę rodu, który od tej pory był coraz silniejszy. Niestety dzisiaj zamek to tylko obiekty bez okien i drzwi. Co prawda jest spory dziedziniec, jest samo wzgórze zamkowe, na które wchodzi się po kamiennym moście. Ale to niestety za mało by coś konkretnego mogło się tu dziać. Postanowiliśmy obejrzeć zamek z dołu. Okazało się jednak, że rosnące na zboczu drzewa i krzewy są tak gęste, że nic nie było widać, poza wspomnianym mostem. Jedyny pożytek z naszego spaceru był taki, że przynajmniej niektórzy z nas, mieli okazję pogłaskać małe kozy, a nawet pogadać sobie do nich, bo te wcale nie były rozmowne.

Przed miejscowością Ostróg czekał na nas przedstawiciel Uniwersytetu Narodowego Akademii Ostrogska znajomi, którzy organizował nasz pobyt w Ostrogu. Pojechaliśmy na miejsce noclegu. Obok zobaczyliśmy rozsypującą się stodołę. Zaraz słysząc było postulat, by zorganizować spanie na sianie. Na szczęście kierownik tego nie usłyszał. Chcąc zobaczyć jakie tym razem trafiło mi się łóżko położyłem się na chwileczkę w swoim pokoju, a tu patrzę, na drewnianej półeczce zamontowanej nad łóżkiem widzę umieszczony od spodu napis "Sasza wstawaj". Dobrze, że nie jestem Sasza. Trzeba przyznać - ciekawy to pomysł. Gdy Sasza rano otworzy oczy to od razu wie co ma robić.



Spotkanie z rektorem Akademii Ostrogskiej, prof. Petro Kralyukiem. Foto: Krzysztof Tęcza

Nie była to jednak jeszcze pora odpoczynku. Szybko dotarliśmy do obiektów Akademii Ostrogskiej, będącej najstarszym zakładem oświatowym Europy Wschodniej, założonej przez księcia Ostrogskiego w 1576 roku. Oczywiście obecna Akademia to kontynuacja tej poprzedniej. Dowiadujemy się, że przez 16 lat od wznowienia jej działalności przywrócono to miejsce do życia. Obecnie piękne i zadbane obiekty jeszcze kilkanaście lat temu nie miały ani drzwi ani okien. Niektóre nie miały nawet dachów. Twórca obecnej Akademii prof. Petro Kralyuk, obecnie rektor uczelni, przyjął nas w Sali Rektorskiej, gdzie zaprezentował swoją uczelnię. Podkreślił, że obecnie ceni się tu pamięć zarówno Ukraińców jak i Polaków, którzy zapisali się w historii tej ziemi. Jednocześnie podkreślił, że po okresie radzieckim, tak jak odrodziła się Akademia, odradzać będzie się wolna Ukraina. Podkreślił także otwartość na świat, na inne kultury, gotowość współpracy z innymi uczelniami. Dzisiaj Uniwersytet Narodowy Akademia Ostrogska w Ostrogu (prawidłowa nazwa) to 6 wydziałów i 19 kierunków. To 3000 studentów dziennych i 900 zaocznych. To 170 wykładowców. Najważniejszy jednak poza nauczaniem jest fakt, iż ponad 90 % wychowanków znajduje pracę. Ciekawe jest też, że mimo iż na wydziale teologicznym studiuje sami mężczyźni to ogólnie na uczelni aż 60 % studentów stanowią kobiety.

Ponieważ Ostroń to rodowe gniazdo rodu Ostrogskich, Zbigniew Pękała opowiedział o herbie książąt Ostrogskich, o tym jak powstał, jak ewoluował i jak w końcu po scaleniu z dwu elementów stał się herbem Ostrogskich znanym jako Baklay (biała perła).

Prof. Witold Kłaczewski jako rektor Wyższej Szkoły Społeczno-Przyrodniczej w Lublinie uświadomił obecnym, że na jego uczelni studiuje wielu obywateli Ukrainy. W trakcie dalszej rozmowy ustalono, iż podjęte zostaną w niedługim czasie rozmowy na temat współpracy obu uczelni.

Anastazja Heleniuk, dyrektor uczelnianego muzeum zaprezentowała nam zgromadzone tu zbiory. Gdy porównamy stare zapiski studenckie z tymi, jakie studenci robią dzisiaj, to okazuje się, iż ich obecne zachowanie niewiele odbiega od sposobu postępowania kilkaset lat temu. Ciekawostką jest prawdziwy ul jaki otrzymał w prezencie rektor. Ponieważ jego nazwisko tłumaczy się jako Pszczelarz, studenci często malują sobie na policzkach pszczoły. A ponieważ rektor znany jest z poczucia humoru sam przebiera się w strój pszczelarza i składa wszystkim życzenia.

Pani Anastazja zaprosiła nas także do kościoła uniwersyteckiego, który w tym wypadku jest właściwie Domem Bożym. Jest to bowiem obiekt służący wszystkim, zarówno wierzącym jak i niewierzącym. Każdy może tutaj wejść i albo się pomodlić albo po prostu posiedzieć sobie i przemyśleć wątpliwości jakie go trapią. A trzeba wiedzieć, że miejsce to jest niezwykle. I nie chodzi wcale o zdarzenie jakie miało miejsce w krypcie znajdującej się pod świątynią. Chodzi o niezwykle obraz. A właściwie o dwa obrazy. Pierwszy to wizerunek św. Stefana, drugi to przedstawienie Pana Jezusa namalowane na pierwszym. Oczywiście najpierw pierwszy obraz zagruntowano, tak że nie był on widoczny. Gdy weszli tutaj Rosjanie obraz posłużył im jako tarcza strzelecka. Podczas konserwacji jaka miała miejsce 70 lat po tym zdarzeniu naliczono w nim 56 otworów po kulach. Wydarzyło się wtedy coś dziwnego. Część farby zeszała odsłaniając św. Stefana, który zasłania ręką usta Jezusowi. I właśnie w tym miejscu nie ma ani jednego śladu po kulach. Może to zwykły przypadek jednak niektórzy dopatrują się w tym niemalże cudu.



Nowoczesna biblioteka Akademii Ostrogskiej. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy myśleliśmy, że już nic więcej ciekawego nas nie spotka zostaliśmy zaproszeni do nowego, olbrzymiego budynku w kształcie rotundy z wieżą. Była to nowo zbudowana biblioteka uniwersytecka. Zgromadzono tu ponad 400 tysięcy książek. Jest też oczywiście pracownia komputerowa. Ale najważniejsze to umieszczony na samym środku egzemplarz Biblii Ostrogskiej. Oczywiście jest to kopia. Oryginał spoczywa w sejfie.

Aby dopełnić nasz obraz Ostroga wyruszamy na spacer po mieście. Prowadzą nas Włodzimierz Filarowski i Halina Krajczyńska, przewodniczący i wiceprzewodnicząca Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Ostrogskiej. Pojawili się także dwaj panowie w niebieskich mundurkach. Tak się nam spodobali, że każdy chciał zrobić sobie z nimi pamiątkowe zdjęcie. Wcale nie bronili się przed tym. Byli bardzo mili.

Po wzgórzu zamkowym oprowadził nas Mykoła Mańko, przewodniczący Towarzystwa Dziedzictwo w Ostrogu wicedyrektor muzeum. Pokazał nam zbiory muzealne, ale wskazał także pamiątkowy kamień poświęcony Stanisławowi Kardaszewiczowi, który jako pierwszy napisał w języku polskim historię Ostroga.



Ksiądz Witold Józef Kowalow odprawia msze nad mogiłą legionistów. Foto: Krzysztof Tęcza

Po wymianie prezentów spotkaliśmy się z poznanym na uczelni księdzem Witoldem Józefem Kowalowem proboszczem miejscowej parafii rzymskokatolickiej. Od 1992 roku zajmuje się on kościołem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Ostrogu. Podzielił się on z nami swoimi problemami. Następnie byliśmy na cmentarzu polskim, nieczynnym zarośniętym bujną zielenią. Tu w gęszczu krzewów dotarliśmy do miejsca pochówku Legionistów. Niestety miejsce to ciągle zarasta chaszczami. Aby nie zapomniano o tych młodych żołnierzach, którzy oddali swoje życie za Ojczyznę, ksiądz wraz z parafianami co jakiś czas wycina chaszczę i dwa razy do roku odprawia tu msze święte. Na uszkodzonej płycie grobowca umieszczono napis: Bratnia mogiła Bohaterów poległych za Ojczyznę w wojnie bolszewickiej w latach 1919-20 pod Ostrogiem. Tym razem odmówiliśmy stosowną modlitwę razem z księdzem Witoldem a Józef Partyka, jako nasz przedstawiciel ustawił na grobie znicz, którego płomyk miał symbolizować naszą pamięć o leżących tu Rodakach.

Po tak pracowitym dniu dotarliśmy do restauracji Maestro, w której w towarzystwie sekretarza miasta Ostróg, Mikołaja Dobrowolskiego, mogliśmy zasmakować w miejscowej kuchni. Podczas dyskusji o roli turystyki dla rozwoju miasta padło stwierdzenie, iż za rok zostanie wybudowany tutaj prawdziwy hotel, co pozwoli na zatrzymywanie się tu wycieczek autokarowych.

Czwartek, 28 czerwca

Ranek przywitał nas deszczykiem. Nie przeszkadzało nam to jednak, gdyż do zaplanowanego w Krzemieńcu śniadania mieliśmy ponad 70 km. Ruszyliśmy zatem w drogę. Myślałem, że jeszcze trochę zdrzemnę się podczas podróży. Okazało się to niemożliwe. Widoki za szybami autokaru były



Grzegorz Grocholski omawia panoramę Krzemieńca z zamku na Górze Bony. Foto: Krzysztof Tęcza



Widok z Liceum Krzemienieckiego na Górę Bony. Foto: Krzysztof Tęcza

tak niezwykle, że nie było mowy o spaniu. Co chwilę widać było, jak ktoś prowadził krówki na pastwisko. Co chwilę ktoś wyjeżdżał w pole wozem konnym. Już dawno takich obrazków nie widzieliśmy u nas. Ale oto dojeżdżamy do miejsca naszego posiłku. To tutaj dosiada się do nas pan Grzegorz Grocholski były dyrektor Muzeum Krajoznawczego w Krzemieńcu, który będzie nam towarzyszył w dalszej części dnia. Okazał się on być niezwykle ciekawym człowiekiem. Zaraz zaczął nam opowiadać o czasach przedwojennych. Przecież jako emeryt jeszcze je

pamiętał. Uzmysłował nam jak przebiegał proces zmian narodowościowych na tych ziemiach. Mówił o urodzonym tutaj Juliuszu Słowackim, o Górze Bony, o Liceum Krzemienieckim. Zaraz ruszamy pieszo na widoczne na wzgórzu ruiny zamku, na którym przez 20 laty rządziła królowa Bona. Twierdza ta była nie do zdobycia i tak pewnie by pozostała gdyby nie zdrada. Od tej pory zamek popada w ruinę. Pan Grzegorz zaprowadził nas ścieżką za mury zamkowe do miejsca, z którego roztaczała się panorama na Krzemieniec. Widoki były takie, że aż dech nam w piersiach zapierało. Zwłaszcza, że bardzo, ale to naprawdę bardzo strome zbocze, nie pozwalało na swobodę ruchu. Dlatego bezwiednie nastąpił samoistny podział grupy. Ci bardziej płochliwi oparli się plecami o mury zamkowe, ci mniej trzymali się ścieżki. Niestety bojący się wody rozłożyli parasolki i zasłaniali piękne widoki. Skutecznie utrudniało nam to robienie zdjęć. Prowadzący wciąż recytował wiersze i poematy, zarówno po polsku jak i w innych językach. Aż miło było słuchać. Ale to był dopiero początek. W dalszej drodze, prowadzący, gdy dorwał się do mikrofonu dał nam prawdziwy koncert. Śpiewając Hej sokoły porwał innych i wkrótce słowa pieśni niesły się po całym autobusie. Później pan Grzegorz śpiewał solo, gdyż okazało się, że istnieją nieznane nam zwrotki wyrażające marzenia pozostałych tu Polaków. Niestety nie zacytuję ich tutaj gdyż są niecenzuralne.

Stajemy przy kościele św. Stanisława Biskupa i Męczennika, w którym oglądamy pomnik Juliusza Słowackiego. Ponoć dzięki temu właśnie pomnikowi kościół ten jako jedyny nie został zamknięty w czasach sowieckich. Wszystko mówi umieszczony na nim napis: „Lecz zaklinam. Niech żywi nie tracą nadziei”. A przed świątynią spotkała nas miła niespodzianka. Pojawił się młodzieniec o imieniu Walery i zarecytował „Polak Mały”.

Obiektem do którego zmierzaliśmy był budynek Liceum Krzemienieckiego. Z wielu tablic pamiątkowych jakie umieszczono na jego fasadzie nas zainteresowała jednak, poświęcona pamięci Tadeusza Czackiego i Hugona Kołłątaja, założycieli Gimnazjum Wołyńskiego w Krzemieńcu. Nieco dalej kwitły na czerwono setki róż, ponoć przywiezionych tu w 2009 roku z Polski. Nam udało się wypatrzyć drzewo tulipanowca z pierwszym kwiatem. Co za szczęście.

Tuż za płotem znajduje się dom, w którym spędził swoje dzieciństwo Juliusz Słowacki, a w którym obecnie jest muzeum.



Zamek Wiśniowieckich w Wiśniowcu. Foto: Krzysztof Tęcza

My podążamy do Wiśniowca, gdzie zwiedzamy olbrzymi zamek rodu Wiśniowieckich. Z miejscem tym, a właściwie z przebywającymi tu wybitnymi osobowościami związanych jest wiele ciekawych przekazów. Choćby car Dymitr Samozwaniec, który poślubił Marynę Mniszchównę. Niestety nie przyszło mu zbyt długo żyć. Zabity, został najpierw pochowany. Później jego zwłoki odkopano, poćwiartowano i spalono, by nabić armatę i wystrzelić w stronę zachodu, tam skąd przyszedł. Jednak Maryna Mniszchówna była pierwszą w historii

kobietą koronowaną na carową. To tu spędził swoje życie chyba najbardziej znany z rodu Wiśniowieckich Jeremi, ojciec króla polskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Stąd też pochodził Dymitr Wiśniowiecki Bajda, który pojmany przez sułtana Sulejmana odmówił spełnienia jego propozycji pojęcia za żonę córki sułtana oraz przejścia na Islam. Został za to powieszony za żebro. Legenda mówi, że po śmierci jego serce upieczono i podzielono tak by każdy z Turków mógł zjeść kawałek. Obecnie na zamku prowadzone są prace remontowe. Widać jak wiele trudu zadają sobie gospodarze by przywrócić obiekt do życia. Wiele już zrobiono, ale jeszcze daleka droga do pełnej świetności zamku. Ciekawe czy przyjdzie nam jeszcze obejrzeć zabawy jakie prowadzono tu dawniej. Otóż Mniszkowie na olbrzymiej szachownicy grali w szachy żywymi pionkami. Reguły gry mówiły, że zбитy pion czy figura przechodził na własność tego kto go zbił. Fajna gra prawda!

Z zamkowego tarasu roztacza się wspaniały widok. Po drugiej stronie rzeki Horyń widzimy ruinę kościoła, w którym w 1944 roku banderowcy wrzucili do studni 180 zwłok zamordowanych Polaków. Ale zaraz pod naszymi stopami widać także ładną cerkiew, w której brał ślub Dymitr Samozwaniec i Maryna Mniszchówna. Dowiedzieliśmy się tu o kamiennej ławeczce, na której odpoczywał podróżujący tędy Onore de Balzak. Cóż było robić. Mimo, iż nie było nam to po drodze ruszyliśmy w tamtym kierunku. Później pokonując strome drewniane schody zeszliśmy do wspomnianej cerkwi i koło murów obronnych dotarliśmy do autobusu. Po chwili mijamy pomnik mamuta. Ponoć w latach 70-tych XX wieku wykopano tu takie zwierzę. Niestety przewodnik nie był w stanie powiedzieć nam, czy mięso nadawało się jeszcze do spożycia.



Zamek w Zbarażu. Foto: Krzysztof Tęcza



Wspólna fotka z bratem Kozakiem. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy dojechaliśmy do Zbaraża padający deszcz dał za wygraną. Mogliśmy spokojnie podejść aleją parkową i po wykupieniu zezwoleń na robienie fotografii zacząć zwiedzanie zamku. Twierdza jest niesamowita. Mówię oczywiście o jej w architekturze, no i oczywiście o podziemiach. W salach zamkowych zgromadzono wiele ciekawych eksponatów. Wypatrzyliśmy tutaj zarówno Płaszczonice będącą symbolem Wielkiego Postu w Cerkwi Greckokatolickiej jak i żydowską Torę. Widzieliśmy wiele ikon jak i obrazów przedstawiających różnych świętych. Wspaniale prezentowała się wielka makietka zamku. Ale były tu także dzieła współczesnych artystów. Najbardziej w pamięci utkwiły nam rzeźbione w lipowym drewnie dzieła Wołodyma (Włodzimierza) Lupiychuka (Lupiczuka). Dzieła te były tak ekspresyjne, że zarzuciliśmy obecnego brata rzeźbiarza dziesiątkami pytań.

Gdy opuszczaliśmy zamek wychodząc mostem nad ośmiometrową fosą zauważyliśmy przy bramie rzeźbę przedstawiającą brata Kozaka. Nie sposób było oprzeć się by nie zrobić sobie z nim pamiątkowej fotografii. Zadowoleni uświadamiamy sobie, że oto zdobyliśmy Zbaraż. Zatem pozostało nam tylko dotrzeć do Tarnopola gdzie mamy zarezerwowane noclegi w położonym nad olbrzymim stawem hotelu Galychyna.

Z balkonu widać stateczek na przystani. Ciekawe czy uda nam się nim popływać.



Zachód słońca nad jeziorem w Tarnopolu. Foto: Krzysztof Tęcza

Tu spotkaliśmy się z Piotrem Fryzem prezesem Polskiego Kulturalno - Oświatowego Towarzystwa Obwodu Tarnopolskiego. Podczas spaceru wokół stawu opowiada nam on o czasach dawniejszych i nie tak bardzo odległych. Ale oto dochodzimy do zamku Tarnowskich, przed którym w sporym parku dostrzegamy dwa ciekawe drzewa. Są to drzewka miłości. Wykonano je ze stali a na gałązkach powieszono wiele kłódek symbolizujących czyjaś miłość. Natomiast na listkach, ci bardziej zakochani, podzielili się z nami imionami swoich ukochanych. Zwiedzając kolejne atrakcje Tarnopola docieramy do siedziby Towarzystwa, gdzie mamy okazję zobaczyć w jakich warunkach pracują jego działacze. Aż dziw bierze, że w tak małych pomieszczeniach prowadzona jest Szkoła Polska, w której rocznie uczy się nawet 300 osób. Przychodzą tu wszyscy zainteresowani zdobyciem Karty Polaka, gdyż jej posiadanie skutkuje otrzymaniem na rok darmowej wizy oraz różnymi zniżkami. Obecnie największym problemem dla prowadzenia szkoły jest brak nauczyciela na odpowiednim poziomie. Ponieważ pracują oni społecznie mają także problem z utrzymaniem swojej siedziby, chociaż marzy im się jakiś większy obiekt, bo gdy na comiesięczne zebranie przychodzi 100-150 osób to część z nich stoi na korytarzu. Od kilku lat starają się oni w miarę możliwości utrzymywać w dobrym stanie groby polskie gdyż każdy zaniedbany grób jest likwidowany. Gdy mieliśmy zbierać się do wyjścia zadzwonił telefon naszego gospodarza. I cóż się okazało. Jako dzwonek ma zainstalowany Hymn Polski. Fakt ten mówi wszystko o nim. O nim jako o człowieku ale także o nim jako Polaku.

Wieczorem byliśmy umówieni w zamku gdzie mieliśmy spotkać się z gospodarzami. Podjął nas zastępca burmistrza miasta Tarnopol Pan Leonid Byciura wraz ze swoimi współpracownikami. Dowiedzieliśmy się od nich, że obecnie po zniszczeniach jakich dokonano za czasów niemieckich czy radzieckich, miasto stara się ustawiać przy każdym ze znacniejszych obiektów zabytkowych tablice informacyjne ze zdjęciem i krótkim opisem. Co do historii to mają oni świadomość, że Tarnopol był grodem polskim. Teraz jednak w wolnej Ukrainie musimy godzić historię zarówno polską jak i ukraińską, gdyż nie da się pominąć ani jednej ani drugiej. Podawali nieprzyjemne a wręcz nedorzeczne przykłady, kiedy to w dawnych latach przejmowano kościoły i urządzano w nich magazyny. Ale rozmawialiśmy także o wymianie studenckiej oraz o pracach remontowych jakie przeprowadzono na zamku. Z naszej strony padły słowa o wspólnej przyszłości Polski i Ukrainy. Prof. Witold Kłaczewski opowiedział o swojej uczelni i o uczących się w niej studentach z Ukrainy. Dr Zygmunt Wilczek, Dziekan PWSS - P przedstawił jak można współpracować na wspólnym produkcie turystycznym jakim są zabytki, przyroda czy wspólne informatory turystyczne. Ponieważ obie strony rozumieją, że tylko działając wspólnie można osiągnąć zamierzony cel wyrażono pogląd, że wspomniana współpraca powinna zacieśniać się tak by prowadzona ona była na co dzień. Aby to osiągnąć zachodzi konieczność kontaktów na wyższych szczeblach, bo dopiero wtedy osiągnie się wymierne korzyści.



Spotkanie na zamku z zastępcą burmistrza Tarnopola panem Leonidem byciurą. Foto: Krzysztof Tęcza

Po takiej wymianie zdań pozostało nam tylko zrobić pamiątkowe zdjęcie i przespacerować się w stronę hotelu. Niestety ostatni statek już odpłynął. Muszę tutaj dodać, że dla nas spotkanie to było jednym z wielu podczas naszego tu pobytu ale pan Piotr Fryz wyraźnie był poruszony. Po raz pierwszy od wielu lat był świadkiem rzeczowej rozmowy o przyszłości kontaktów z Polakami na szczelbu zarządu miasta.

Nie pozostało nam nic innego jak wymienić się z gospodarzami wizytówkami, tak by nasze kontakty nie ograniczyły się do tego jednego spotkania. Ciekawostką podczas spotkania było to, że rozmawialiśmy zarówno po polsku jak i ukraińsku a przecież świetnie się rozumieliśmy. W drodze powrotnej do hotelu towarzyszyła nam pani Maria Tkacz, której prawie cała rodzina wyjechała do Polski. Ona już chyba tu zostanie. Opowiedziała nam dzieje swojej rodziny. Uświadomiła jak wyglądały wyjazdy rodzin polskich za czasów radzieckich. Wcale nie było to takie wesołe. Dowiedzieliśmy się także ciekawej sprawy. Otóż dzisiaj jest święto Konstytucji. To dla tego przez cały dzień wszędzie widzieliśmy tłumy ludzi. Jutro będzie kolejne święto św. Piotra i Pawła. A więc nie ma się co spodziewać, że będzie mniej tłoczno jak dzisiaj.

Gdy dotarliśmy do hotelu okazał się on być całkiem niezły. Przyjemne i czystutkie pokoje. Z balkonu widok na jezioro. Ponieważ wróciliśmy akurat na mecz Włochy - Niemcy, kibice poszli do baru gdzie wisiał duży ekran. Ci mniej zainteresowani futbolem wymieniali swoje wrażenia z dzisiejszego dnia. Wkrótce idziemy spać. Po kilku dniach takich wrażeń jesteśmy już nieco zmęczeni. Łóżka są wygodne więc sen przyszedł szybko.

Piątek, 29 czerwca

Rankiem gdy otwieram oczy słyszę jakąś dziwną ciszę. Właściwie to nic nie słyszę, bo niby jak można słyszeć ciszę? Prawda? Chociaż balkon mam uchylony. Wyglądam więc na zewnątrz by sprawdzić co się dzieje. A tam mgła. I to taka, że nie widać nie tylko jeziora ale nawet barierki balkonu. Słychać tylko lekkie odgłosy typowe dla terenów położonych nad wodą. Patrzę na zegarek. Trzeba się umyć, ubrać i zejść na śniadanie. W restauracji ze zdziwieniem widzę jak niektórzy robią sobie kanapki. Dopiero w autobusie dowiedziałem się, że dzisiaj mamy obiadokolację dopiero o 20,30. Trudno. Myślę, że przeżyję. Zbyszek zaskoczył nas miłą wiadomością. Otóż nasi nowi znajomi – wiceburmistrz Tarnopola, przywiózł o północy do hotelu paczkę z pięknym albumem Parkowa Kultura Tarnopola. Są tam zdjęcia artysty, którego wczoraj poznaliśmy, Sergieja Antonowa.

Ulice Tarnopola rankiem nie są zatłoczone. Mknijemy więc szybciotko mijając aptekę o pięknej nazwie: "Dobrego Dnia". Niestety wszystko co dobre kiedyś się kończy. Raz szybciej, kiedy indziej później. Tym razem wpadliśmy w pułapkę ulic jednokierunkowych. Jednak po chwili jesteśmy na rondzie, przez które wczoraj przyjechaliśmy. Dostrzegliśmy tu dwa domy o fantazyjnych kształtach okien. A na rosnącym żywopłocie ujrzelśmy pajęczyny pokryte poranną rosą. Zaraz za miastem widzimy pasące się na łąkach kozy i gęsi. Gdzieś tam biegają żrebaki. Wyprowadzane są na pastwiska krowy, z tym że są to pojedyncze sztuki. Nie widać wielkich stad. Jeśli już to najwyżej 20 sztuk.

Józef opowiadał o przyrodzie, ale powoli rozwija temat. Jego wywód zrobił się wielowątkowy, odbiegający nawet w odległe tereny. Jednak dzięki temu poznaliśmy związki wielu znanych ludzi z terenami, po których się przemierzamy. Aby całkowicie wybić nas ze snu Alicja przeczytała słowa Wincentego Pola o Podolu. Później niestrudzony prof. Kłaczewski opowiadał nam o historii tych ziem. O stoczonych tutaj bitwach i o tym co one dały następnym pokoleniom.

Za oknami widzimy pola. Wszędzie pola, pola, pola, po horyzont. Droga tak dziurawa, że autobus powolutku sunie omijając większe i mniejsze dołki jakby brał udział w jakimś slalomie.



Góra Różańcowa w Podkamieniu. Foto: Krzysztof Tęcza

Wkrótce udaje nam się dojechać do miejscowości Podkamień. Znajduje się tutaj dawny klasztor dominikanów. Jest to Góra Różańcowa. W 1727 roku miała tu miejsce koronacja cudownego obrazu, a w 1927 roku obchodzono dwusetną rocznicę tych obchodów. Niestety sam obraz jest kopią. Gdy Niemców wyparli Rosjanie wymordowano przebywających tu około 600 Polaków. W klasztorze otwarto więzienie i katownię, później szpital psychiatryczny. Obecnie nie wygląda to najlepiej, chociaż widać, że prowadzi się tu prace remontowe. W 1946 roku wszystko co nadawało się do wykorzystania jako opał zostało spalone. Zachowała się tylko jedna, jedyna rzeźba, którą wyrzucono za mur i którą okoliczni mieszkańcy ukryli. Obecnie uratowana figura Jezusa znajduje się ponownie w świątyni. Natomiast obraz Matki Boskiej Podkamieńskiej, ten oryginalny można obejrzeć we Wrocławiu. Dzięki uprzejmości kościelnego, pana Igora, mogliśmy zobaczyć jak odnowiono podziemia kościoła. Dowiedzieliśmy się także co się stało z drewnianą wieżą. Otóż okazało się, iż została ona rozebrana ze względu na zły stan techniczny. Obecnie jest w trakcie odbudowy. Dowiedzieliśmy się także, że umieszczona na 11-metrowej kolumnie rzeźba Matki Boskiej zachowała się, gdyż po wyjeździe Polaków samoistnie szerniała. Nie kusiła zatem zbieraczy złomu. W roku 1996 zaczęła odzyskiwać pierwotne barwy i obecnie można powiedzieć, że promienieje. Ciekawostką jest 13 dziur po kulach żołnierzy NKWD, którzy strzelali do niej. Jak stanie się pod światło to dziury te widać bardzo wyraźnie. Podczas prac wciąż wykopuje się kości ludzkie, tak wiele osób straciło tu życie za okresu radzieckiego. Wszystkie kości są chowane w krypcie. A w kościele oglądamy obraz na którym w latach 90-tych XX wieku pojawiła się krew.

Gdy wyszliśmy poza mury klasztoru ujrzeliśmy olbrzymi ostaniec, od którego miejsce to wzięło swoją nazwę. Zaraz rozwinęła się ożywiona dyskusja na temat procesów krasowych. Józef Partyka korzystając z tak pięknej scenerii dał kolejny wykład. Później zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie. Członkowie Komisji Krajoznawczej jak zwykle chcieli zrobić sobie zdjęcie do kroniki i jak zwykle mieli z tym wielki problem. Zawsze przy takich okazjach Komisja nagle się rozrasta. Ciekawe tylko, że gdy trzeba się wziąć do pracy to wtedy nagle komisja "chudnie".



Obiekt od którego pochodzi nazwa Podkamień. Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnym celem naszej wędrowki jest miejscowość Brody. Jest to idealne miasto-twierdza. Wybudował ją Stanisław Koniecpolski, aby bronić swoje ziemie. Mówi się, że póki żył był rękoiemą pokoju na Ukrainie. Uroczystości pogrzebowe były niezwykle wystawne a co za tym idzie kosztowne. Istnieje przekaz mówiący o tym, że gdy zgodnie ze zwyczajem, rycerz w czarnej zbroi wjeżdżał do kościoła gdzie miał skruszyć kopie o posadzkę to koń się spłoszył i złapano go dopiero na rogatkach miasta. Sama twierdza to pięcioboczna gwiazda z bastionami i kurtynami oraz kazamatami. Ponieważ twierdza nigdy nie została zdobyta to gdy przyszli tutaj Austriacy rozebrali jeden bok i bramę tak by miejsce to nie mogło już nikomu posłużyć do celów militarnych.

Muszę zdradzić małą tajemnicę. Gdy szliśmy do twierdzy poczuliśmy dziwny zapach. Gdy wracaliśmy znaleźliśmy miejsce, z którego on dochodził. Taki zapach pochodził ze straganu, na którym smażyono na głębokim tłuszczu pierożki. Są one nadziewane kapustą (bardzo dobre), ziemniakami, kiełbasą, marmoladą (znakomite i wbrew pozorom wcale nie za słodkie) itp. Już po chwili opróżniliśmy wszystkie miski. Zjedliśmy cały wypiek. Jednak z braku czasu nie daliśmy pani szansy na usmażenie nowych. W autobusie sąsiadka zaproponowała coś na lepsze trawienie. Zaraz z innych stron wyciągnięto ręce proponując miejscowe specjały, w które mieliśmy okazję zaopatrzyć się w sklepiku. Nie powiem, niektóre z nich bardzo smakowały. Jeden okazał się być lepszy od drugiego. I tak oto powstał dylemat. Który z nich był lepszy. Czy któryś z miejscowych czy nalewka własnej roboty przywieziona z kraju. Myślę jednak, że koleżanka nie obrazi się gdy powiem, iż balsam orzechowy był równie dobry jak jej nalewka.



Zamek w Podhorcach. Foto: Krzysztof Tęcza

Ale koniec tego dobrego. Dojechaliliśmy do miejscowości Podhorce. Oglądamy tu kościół, na którym umieszczono tekst brzmiący w tłumaczeniu „Wzniesiony na chwałę Pana Boga Naszego”. Świątynia usytuowana jest na osi jednej z najlepiej zachowanych kompozycji ogrodowo – pałacowych tamtych czasów. Na jej końcu widzimy pałac będący założeniem czysto mieszkalnym. Jednak ze względu na jego umocnienia mógł on także przez jakiś czas

pełnić funkcje obronne. Wchodząc przez budynek bramny na spory dziedziniec jesteśmy zaskoczeni pięknymi detalami kamieniarskimi. Jest na co popatrzeć. W narożniku znajduje się zejście do lochów. Jednak umieszczono tam znak oznajmiający zakaz wchodzenia dla duchów. Widocznie miejscowych jest już dosyć. A obcych tu nie potrzeba. Gdy obeszlśmy zamek wokół dotarliśmy do miejsca z którego roztacza się bardzo rozległa panorama. Mimo iż to tylko łąki i pola moglibyśmy stać tam i patrzeć się w nieskończoność. Nie było jednak na to czasu. Niemniej znaleźliśmy przysłowiowe pięć minut by zatrzymać się gdy ujrzelśmy wojskowych na koniach unoszących się dosłownie w powietrzu. Ciekawym było dla nas jak umocowano ten pomnik. Bo był to pomnik ku chwale marszałka Budionnego.

W miejscowości Olesko dotarliśmy do zbudowanego na wzniesieniu zamku, w którym urodził się Jan III Sobieski. Znajduje się tu tablica dziękczynna odsłonięta w 250 - rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem i ochrony chrześcijaństwa od nawały tureckiej. A to, że w przyszłości Sobieski miał być pogromcą niewiernych, było już wiadomo w chwili jego urodzin, kiedy to pod zamkiem pojawili się Tatarzy.

Ponieważ wypadałoby skorzystać z toalety, a szczerze mówiąc, mieliśmy już dosyć popularnych tu dziur w podłodze, pomyśleliśmy że w eleganckiej restauracji zamkowej na pewno będzie taka jak u nas, z muszlą. Była. Jednak pani kategorycznie zabroniła korzystania z niej gdyż jest ona przeznaczona wyłącznie dla gości. Nawet za opłatą. Poprosiłem o dobre piwo i wtedy bez problemu mogliśmy udać się w wiadome miejsce. A tam i ciepła woda i ręczniki i mydło. Cena piwa na pewno nie przekraczała opłaty za toaletę. A samo piwo całkiem niezłe, mocno schłodzone, dodało nam animuszu. Ruszamy szybko na dół. Panie przy bramie proponują ciasta. Jednak po wcześniejszych pierożkach nie przetknęlibyśmy już nic. W końcu, po wielu upustach, bardziej by nie zrobić pani przykrości, niż z potrzeby bierzemy kubek z malinami. Zaraz słyszymy wołanie. Zagapiliśmy się nieco i proszono nas by wsiadać do autokaru bo przed nami jeszcze 1,5 godziny jazdy. Ruszamy w kierunku Lwowa. Tym razem droga była na tyle dobra, że do miejsca noclegu docieramy sporo przed czasem. Szkoda iść spać. Zatem zajmujemy pokoje i całą grupą ruszamy na pętlę tramwajową, z której jedziemy do centrum. Ruszamy na wieczorny spacer. W sumie szwędamy się bez specjalnego celu. Przechodzimy koło kaplicy Boimów, rzucamy okiem na Ratusz, oglądamy Arsenał, wały. Docieramy do pomnika Biblii i pomnika Adama Mickiewicza. Ale przede wszystkim obchodzimy plac wokół teatru. Do samego teatru nie udało już się wejść. Było zbyt późno. Jednak nie mogliśmy sobie odmówić zajrzenia do strefy kibica, w której właśnie odbywał się koncert jakiegoś zespołu rockowego. Zaraz poculiśmy atmosferę Euro. Co prawda w strefie nie było zbyt dużo kibiców bo dzisiaj nie było żadnego meczu, jednak nagłośnienie było tak mocne, że nie mieliśmy prawa się słyszeć. Jeszcze przez kilka dni dzwoniło nam w uszach. Zbliżała się pora odjazdu ostatniego tramwaju dlatego uznaliśmy, że to odpowiedni moment na powrót do hotelu, by wreszcie położyć się spać. A ponieważ zakwaterowano nas w najlepszym jak do tej pory hotelu zaraz bierzemy ciepłą kąpiel i nastawiamy klimatyzację na przyjemny ale niezbyt mocny chłodek. Dobranoc.

No i mamy ranek.

Sobota, 30 czerwca

Za oknem znów jest gorąco. Gołym okiem widać, że słońeczko dzisiaj nieźle nas przypiecze. Zatem golenie, szybki prysznic i w drogę. Najpierw schodzimy na śniadanie. Ci bardziej głodni ruszyli do stołu szwedzkiego. My, smakosze, podeszliśmy do restauracyjnej kuchni gdzie kucharz przygotowywał omlety smażone na słoninie, z boczkiem, papryką i serem. Pychota. Mówię wam. Wziąłem jedną, słownie jedną sztukę, na pół z małżonką, by móc skosztować jeszcze innych miejscowych specjałów. A było ich tak wiele, że odpuściłem sobie wszelkie sałatki, wędliny, pieczywo i słodczy (ciasta i torciki). Wystarczyło mi popróbować wszelkich kotlecików, naleśników itp. I już byłem przejezdny. Muszę powiedzieć, że część z nich smakowała tak jak nasze potrawy ale było kilka nowych smaków. W każdym razie była to prawdziwa uczta. A na koniec mogliśmy kupić sobie na pamiątkę piękne koronkowe obrusy i serwety wystawione na stoisku w holu.



Wycieczka po Lwowie prowadzona przez prof. Jurija Zinko z Lwowskiego uniwersytetu Narodowego. Foto: Krzysztof Tęcza

Tym razem zajął się nami prof. Jurij Zinko. Przede wszystkim powiedział, że Euro nie spełniło wszystkich oczekiwań miejscowych przedsiębiorców. Wiele miejsc w hotelach pozostało niewykorzystanych. Niestety ceny były zbyt wygórowane, a gdy je obniżono było już za późno. Ale to tak jak u nas. Jednak 30 tysięcy kibiców, którzy tu przybyli zostawili swoje pieniądze przede wszystkim w restauracjach pracujących całą dobę. Nie było także problemów z komunikacją. Zorganizowano ją prawidłowo. Ponieważ Lwów liczy 800 tysięcy mieszkańców w dni robocze są ogromne trudności z poruszaniem się po mieście osobom zmotoryzowanym. Lepiej korzystać z komunikacji miejskiej, która wcale nie jest droga. W centrum miasta utworzono strefy dla ruchu turystów pieszych. Wzorem Krakowa ustawia się przy zabytkach tablice informacyjne z historią obiektu. Aby zaakcentować ducha Euro pomniki znajdujące się przy Ratuszu ubrano tak by kibice nie mieli wątpliwości jaka odbywa się tu impreza.



Sala Radnych w Lwowskim Ratuszu. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy wreszcie docieramy do pilnowanego przez dwa lwy Ratusza jesteśmy zaproszeni do sali, w której mają posiedzenia radni. Jest ich 90. Na spotkanie z przedstawicielami miasta i radnych Lwowa przenosimy się do bardziej wygodnego pomieszczenia. Wysłuchujemy tu kilku prelekcji przygotowanych na tą okazję.

Prof. Jurij Zinko z Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego zaprezentował nam wykład „Uwarunkowania przyrodnicze i krajobrazowe Lwowa”. Najpierw stwierdził, że Lwów jest dobrym miejscem dla wypoczynku weekendowego. Najwięcej turystów przyjeżdża tu oczywiście z Kijowa. Większość gości przyjeżdża tylko na jeden dzień. Jest to nieraz 50 autokarów. Czynione są starania by te pobyty wydłużyć. Dlatego na obrzeżach miasta powstało wiele dobrych i niedrogich hoteli. Najważniejszym jest by turyści przyjeżdżający do Lwowa złapali panującą tu atmosferę i wywieźli ją stąd tak by pozostała w ich sercach.

Jeśli chodzi o krajobraz to początkowe pola orne zmieniały się stopniowo w zieleni miejską. Była ona kontrastem dla powstającej wysokiej zabudowy mieszkalnej. Ze względu na zajmowanie coraz to nowych terenów pod budownictwo zmieniano nawet bieg strumyków i rzek. Wiele z nich zamykano w kanałach, często podziemnych. Zmiany te można prześledzić na starych mapach. Największe zmiany zaszły oczywiście w ostatnich 100 latach. Niestety bardzo często przyroda przegrywa i dzisiaj gdy spojrzymy na zabudowane doliny nikt już nawet nie pomyśli o nich jak o zielonych dolinach. Ale przyroda potrafi się bronić. Bo gdyby Lwów leżał na równinie to byłby to tylko zbiór zabytków architektury. A dzięki usytuowaniu Lwowa na wzgórzach występuje tu zielona strefa. To jeszcze tam są wolne przestrzenie pozwalające na odpoczynek. Dzisiaj należy tylko należycie szanować te ostatnie strefy zieleni tak by nie zanikły one całkowicie. Chociaż są tu także wielkie strefy zieleni. Na przykład ponad 300 hektarowy park, w którym stoją stare domy. Mieszka tam około 5 tysięcy osób. Teren ten jest we Lwowie ale wygląda tak jakby to była podmiejska wioska. Nieraz dochodzi tam do zabawnych sytuacji, kiedy sąsiad spotykając sąsiada pyta go: Dokąd idziesz? A idę na 10 minut do Lwowa – odpowiada tamten. Przecież cały czas są we Lwowie!

Następnie głos zabrał pan Taras Krawec, Aleksander Zawadowycz i pani Krystyna Koszulińska. Zaprezentowano nam właśnie wydany „Wielki atlas miasta Lwów 2012”. Jest to dzieło formatu A-3, zawierające około 300 map i 100 różnych schematów. Atlas podzielono na bloki: geograficzny, przyrodniczy, archeologiczny. Opisano w nim także infrastrukturę miejską, przemysł i poświęcono dział planowaniu przestrzennemu. Ze słów jakie padły wychodzi, że nie dość że jest to opracowanie jedyne w swoim rodzaju to już inne miasta próbują się na nim wzorować.

Po prezentacji naszej ekipy, której dokonał, jak zwykle Józef Partyka, przydzielono nam dwie młode przewodniczki i podzieleni na grupy udaliśmy się na zwiedzanie miasta. Od razu zapytaliśmy prowadzącą nas Halinę jak zostaje się przewodnikiem na Ukrainie. Otóż trzeba skończyć specjalne szkolenie i zdać stosowny egzamin. Do egzaminu są dopuszczane tylko osoby posiadające wyższe wykształcenie. A gdy złapią kogoś na oprowadzaniu bez wymaganych zezwoleń to kara jest bardzo bolesna. Nasz spacer rozpoczynamy koło Ratusza. Idziemy do katedry Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, obiektu tak bogato zdobionego, że początkowo nie wiadomo na czym skupić swoją uwagę. Dobrze, że mieliśmy przewodniczkę. Dopiero ona potrafiła ogarnąć nagromadzone tu piękno i po kolei je nam zaprezentować. Powoli wyłaniał się jakiś sens w naszym oglądaniu. Nieco dalej zobaczyliśmy, nie mniej zdobną kaplicę Boimów, która właśnie na swoje ozdoby nazywana jest biblią dla ludzi niepiśmiennych. Oglądamy kilka kamienic zbudowanych w Rynku. Faktycznie są one wyjątkowe. Chociaż nie wszystkie wyglądają dobrze. W pobliżu kościoła Bożego Ciała rozpoznajemy w ustawionej rzeźbie postać Nikifora Krynickiego. Ponoć dzięki niemu spełniają się nasze życzenie. Wystarczy przystanąć przy nim i chwycić go za nos. Chyba coś w tym jest gdyż co chwilę ktoś przystaje i po chwili namysłu dotyka nosa Nikifora. Na fasadzie wspomnianego kościoła widzimy leżącego na biblii psa, który trzyma w pysku płonącą pochodnię symbolizującą ogień inkwizycji. Wewnątrz umieszczono pomnik Artura Grottgera.



Strefa kibice we Lwowie. Foto: Krzysztof Tęcza



Lwów podczas Euro 2012. Foto: Krzysztof Tęcza

Wielką ciekawostką okazała się stara apteka, w której utworzono muzeum, mimo że wciąż jest ona czynna. Wchodząc do niej mamy duże szanse poczuć atmosferę jaka panowała w tym miejscu kilkadziesiąt lat temu. By nastrój jaki nam się udzielił nie prysł zbyt szybko przeszliśmy pod dom „Cztery Pory Roku”. Znajduje się na nim rzeźba Saturna odmierzająca czas. Kolejne rzeźby przedstawiają wiosnę, lato, jesień i zimę. Ozdób umieszczonych na tej kamienicy jest tak wiele, że gdybyśmy chcieli sprawdzić co poszczególne z nich symbolizują musieli byśmy pozostać tu do wieczora. A przecież tuż obok siedzi sobie na ławeczce Ignacy Łukasiewicz a z okna na pierwszym piętrze wygląda jego nauczyciel. Każdy chce przysiąść przy słynnym rodaku i zrobić sobie zdjęcie.

Aby pokazać, że Lwów to wiele kultur czy wyznań zostajemy przyprowadzeni do katedry Ormiańskiej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Początkowo oglądamy w panującym tu półmroku to co nam pokazuje prowadząca. Po chwili jednak stwierdzamy ze zdziwieniem, że podpisy pod malowidłami są w języku polskim. Opiekujący się katedrą człowiek widząc nasze zdziwienie podszedł do nas i wytłumaczył w czym rzecz. Otóż obrazy te wykonał w latach 20-tych XX wieku malarz z Warszawy Jan Henryk Rosen. Więc nie ma w tym nic dziwnego. Zaraz widzimy różnice jakie są tutaj w stosunku do podobnych przedstawień w innych kościołach. Otóż malowidło przedstawiające pogrzeb św. Odilona, założyciela święta Wszystkich Świętych oraz Dnia Zadusznego, ukazuje orszak żałobny, w którym idą zakonnicy. Pierwszy z nich przedstawia przyszłość, ten pośrodku teraźniejszość, zaś ostatni z twarzą zasłoniętą kapturem przeszłość. Idący młodzieńcy jak i latające wokół orszaku duchy również przedstawiają to co ma się dopiero wydarzyć czyli to czego jeszcze nieznają. Ale najbardziej rzucające się w oczy różnice to ukrzyżowany Jezus wznoszący się ku niebu (nie jest on przybity do krzyża) oraz ostatnia wieczerza bez Judasza, który nie zasłużył sobie na takie wyróżnienie.

Przed nami małe wyzwanie. Podchodzimy okrężną drogą na Kopiec Unii Lubelskiej, usypany z inicjatywy Franciszka Smolki w latach 1869-1900. Jest naprawdę stromo, chociaż niektórzy próbują dostać się tutaj na przełaj. Oczywiście my do nich nie należymy. I nie

chodzi tutaj o zniszczenia jakie robią ci przełajowcy. Po prostu nie warto się męczyć. Droga którą idziemy i tak jest wystarczająco ciężka. Jednak panorama jaka stąd się rozpościera jest dla nas wystarczającą rekompensatą za włożony trud przy podejściu. Szukamy chociaż trochę cienia i Jurij opowiada nam o okolicy, o przyrodzie i geografii tego miejsca.

Gdy dotarliśmy na Cmentarz Łyczakowski udaliśmy się na grób Marii Konopnickiej by postawić tam jeden z przyniesionych zniczy. Następnie prowadzeni przez pracownika cmentarza przechodząc koło grobu Juliana Ordona i Gabrieli Zapolskiej dotarliśmy na Górkę, miejsce gdzie pochowano uczestników powstania styczniowego z 1863 roku. Na tablicy ustawionego tu pomnika upamiętniono ostatnich członków rządu narodowego. Do dzisiaj trwa dyskusja nad rangą tego zrywu. Czy było to powstanie czy regularna wojna. My jednak nie będziemy wnikać w takie szczegóły. Naszym celem było zapalenie tutaj znicza.



Polski Cmentarz Wojenny we Lwowie tzw. Cmentarz Orląt. Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnym, a właściwie najważniejszym miejscem, do którego zmierzaliśmy był Polski Cmentarz Wojenny 1918-19-20 nazywany Cmentarzem Orląt. Nie będę tu oczywiście prezentował historii tego miejsca. Nie ma chyba Polaka, który nie znał by jej. Wspomnę tylko, iż dotarliśmy do grobu, z którego metodą losową wybrano zwłoki nieznanego żołnierza i przewieziono je w 1925 roku do Warszawy gdzie ponownie je pochowano w Grobie Nieznanego Żołnierza. Gdy zapaliliśmy znicz i rozejrzeliśmy się dookoła dotarło do nas, że ci wszyscy pochowani tu żołnierze to sami młodzi chłopcy. Niektórzy to nawet dzieci, przed którymi życie dopiero się otwierało. Niestety musieli oni je oddać za Ojczyznę. Dlatego myślę, mamy wręcz obowiązek o nich pamiętać.

Wracając do autokaru zobaczyliśmy wysoką zadbaną kolumnę. Okazała się ona być ustawiona na grobie Franciszka Stefczyka, założyciela Kas Stefczyka. Mimo, iż zmarł on w Krakowie został zgodnie ze swoim życzeniem pochowany właśnie tu u boku swojej żony. Obecnie grobem tym, opiekują się bankowcy, którzy co roku organizują tu spotkanie.

Ponieważ na cmentarzu znajduje się wiele ciekawych i pięknych nagrobków droga powrotna zajęła nam dużo więcej czasu niż planowaliśmy. Dlatego zaraz wyjechaliśmy tak by

zdążyć na zamówiony posiłek. Baliśmy się, że dostaniemy wszystko na zimno. Zostaliśmy jednak bardzo mile zaskoczeni. Nie dość, że wszystko było ciepłe to jeszcze smaczne. I po raz pierwszy nie zaserwowano nam czerwonego barszczu. Dostaliśmy tym razem rosół z cienkim makaronem zwijanym w formie naleśników pociętych ukośnie. Danie to nazywa się Panadel. Drugie danie było nie mniej smaczne od pierwszego. Po raz pierwszy mogliśmy posmakować przypieczoną kapustę w formie kotleta. Żeby dopełnić obraz rozpusty to powiem, że na deser dostaliśmy lody i szarlotkę z cynamonem. W ogóle zauważyliśmy, że podczas całego naszego tu pobytu wszystkie posiłki składały się z kilku, nieraz pięciu, dań. Właścicielka restauracji cały czas musiała tłumaczyć nam jak się przygotowuje niektóre podawane właśnie potrawy. Wiele pań życzyło sobie szczegółowych przepisów.

Byliśmy tak zadowoleni, że machając ręką na pożegnanie wcale nie myśleliśmy o długiej jeździe jaka nas czekała. Tak, że gdy dotarliśmy do Żółkwi nawet dziwiliśmy się, że to już. Ponownie byliśmy spóźnieni. Jednak Petro Wychopen, mer miasta w ogóle nie był zrażony. Zaprezentował nam swój gród. Opowiedział jak się tutaj żyje i jakie snuje się plany, których wykonanie ma przyciągnąć turystów. Pan Piotr mówił po polsku jak i po ukraińsku. W zależności czy się nie zapomniał, bo obiecywał, że go zrozumiemy. Usłyszeliśmy od niego także kilka żartów. Ten który utkwiał nam w pamięci mówi, iż student do obiadu zawsze walczy z głodem, a do kolacji ze snem. Fajne. Mer zaprezentował nam także znanych ludzi związanych z Żółkwią uważaną za miasto idealne. Byli to Stanisław Żółkiewski, Jan III Sobieski, Bogdan Chmielnicki, Jan Mazepa i Piotr I Romanow. Po części oficjalnej zostaliśmy zaproszeni przez Michaiła Kubaja, przedstawiciela Społecznej Organizacji Centrum Rozwoju Miasta na spacer po Żółkwi. Byliśmy pod wrażeniem ogromnego placu jaki znajduje się w centrum miasta. Na jednym jego końcu wzniesiono zamek. Po remoncie będzie on pełnił funkcje kulturalne oraz muzealne. Powstanie w nim także hotel i restauracja. Gospodarze podkreślają, iż mimo że dawniej mieszkali tu Polacy, Ukraińcy czy Żydzi to nie doszło w historii do zbrodni narodowościowych. Dawniej nawet dobierano skład Rady Miasta pod kątem odpowiedniej ilości przedstawicieli wszystkich narodowości. Bez oporów mówi się tu o Stanisławie Żółkiewskim, założycielu miasta jak i Sobieskich.



Ratusz w Żółkwi. Foto: Krzysztof Tęcza

Przechodząc koło fontanny zaciekała nas kłapa do kanalizacji. Okazała się ona być zrobiona z kompozytów. Jest to materiał na tyle wytrzymały, że nie zniszczy go żadna ciężarówka, a ponieważ jest to tworzywo sztuczne nie zainteresuje się nią żaden zbieracz złomu. Można by ten patent przenieść na nasz grunt. Wreszcie nie martwilibyśmy się, że wpadniemy w nocy do dziury, bo ktoś ukradł klapę.

W kościele kolegiackim św. Wawrzyńca przywitał nas ksiądz, który odprawivszy krótką mszę w naszej intencji zaprowadził nas do podziemi gdzie pochowano zarówno Stanisława Żółkiewskiego jak i rodzinę Jana III Sobieskiego. Kościół ten przechodził różne koleje losu. Najtragiczniejsze były czasy władzy radzieckiej. Jednak obecnie wszystko idzie ku dobremu. Chociaż wciąż brakuje wywiezionych stąd pamiątek. Niech podsumowaniem słów księdza będzie następujące zdanie. Gdy piorun raził stojącego na szczycie kościoła św. Michała Archanioła wszystkich ogarnęło przerażenie. Jednak wspólną pracą odremontowano rzeźbę i teraz jest ona ponownie ozdobą świątyni uważanej za mały Wawel. A więc jest nadzieja, jest ufność, jest wiara, jest też przyszłość. I tak należy patrzeć na to.

O dziwo, na granicy bez problemów zostaliśmy przepuszczeni przez służby ukraińskie. Za to nasi trochę nas przytrzymali. Ale gdy zjedliśmy kolację i dotarliśmy do Lublina wcale nie chcieli nam się spać. Racjonalnym jednak było jak najszybciej udać się na spoczynek.

Rano bowiem zaplanowaliśmy spotkanie na którym mieliśmy podsumować nasz wyjazd, jak i porozmawiać o kolejnym w roku przyszłym.

Niedziela, 1 lipca

Zbyszek Pękała zdradził nam wiele szczegółów organizacyjnych. Mimo, iż czasami zdarzały się zmiany w dosłownie ostatniej chwili, dzięki swoim znajomościom z przyjaciółmi z Ukrainy improwizowano na poczekaniu i najczęściej wszystko dobrze się kończyło. Oczywiście Zbyszkowi pomagały inne osoby. Byli to przede wszystkim Józef Partyka i Wojtek Kowalski. Bardzo duży wysiłek organizacyjny w przygotowanie wyjazdu włożyli przedstawiciele Wyższej Szkoły Społeczno - Przyrodniczej w Lublinie. A podczas podróży wykładowcy szkoły włączali się w oprowadzanie nas. Jesteśmy mile zaskoczeni i nie znajdujemy słów uznania dla prof. Witolda Kłaczewskiego, który bardzo chętnie dzielił się z nami swoją ogromną wiedzą. Jak mogli pomagali także inni uczestnicy wycieczki choćby Alicja i Ryszard Wrzaskowie.

Kolega Mieczysław Żochowski zaproponował na przyszły rok zorganizowanie podobnego wyjazdu na Białoruś. Nie będzie to więc odosobniona wyprawa.

Jeśli o mnie chodzi to wybierając się na tą wyprawę miałem wiele obaw. Oczywiście nie chodziło mi o sprawy organizacyjne. Te bowiem członkowie naszego Towarzystwa mają opanowane. Chodziło mi o to co tam zastaniemy, o relacje międzyludzkie i o dostępność niektórych obiektów.

Teraz na koniec mojego opisu, myślę że mogę sobie pozwolić na stwierdzenie, iż wyjazd ten spełnił moje oczekiwania jako krajoznawcy. Natomiast myślę, że w imieniu Komisji Krajoznawczej ZG PTTK mogę sobie pozwolić na stwierdzenie, iż wyjazd ten spełnił także nasze oczekiwania jako Komisji. Bo trzeba przyznać, że krajoznawstwo nie zna granic. Oczywiście w każdym kraju kładzie się inny nacisk na tą prawie już naukową dziedzinę życia, jednak mieszkańcy stref przygranicznych a przede wszystkim przebywający tu turyści, także w różnym stopniu, drążą różne aspekty krajoznawstwa. Poprzestańmy jednak na tych dywagacjach. Ważnym jest, że krajoznawstwo żyje, rozwija się i wciąż będzie się rozwijać.

Krzysztof Tęcza